RODZINA I DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 1

ROK IV STYCZEŃ 1939

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

Str.

Od Redakcji 1

Zygmunt Gryń — Doniosłość akcji współpracy domu i szkoły na Zaolziu 1

Wiktoria Hesslówna — Psycholog szkolny 3

Jadwiga Jasnorzewska — Chłopcy (c. d.) 8

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Maria Sobek — O wysoki poziom wychowania religijnego naszej młodzieży 10

Zofia Szydłowska — Kilka uwag o nowej szkole 12

Zofia Iwaszkiewiczowa — Czy warto współpracować? 15

GŁOSY WYCHOWAWCÓW.

Elżbieta Bąkowska — Szkolne zabawy taneczne 16

Kto winien? 18

Pamięci Hanny z Szalayów Szyllerowej 20

GŁOSY RODZICÓW.

Szczerość potrzebuje klimatu 20

Wyjazdy zimowe młodzieży a koleje 22

Zorganizowane zdziczenie 23

Młodzież szkolna w obozach dla młodych 24

SPRAWOZDANIA I RECENZJE 24

Z PRASY POLSKIEJ 26

Z PRASY ZAGRANICZNEJ 28

Paweł 29

Książki nadesłane 32

NR. 1 STYCZEŃ 1939 ROK IV

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

OD REDAKCJI.

Rozpoczynając czwarty rok wydawnictwa śpieszymy podzielić się z naszymi czytelnikami, współpracownikami i przyjaciółmi wiadomością, iż wkrótce ukaże się dodatek do „Rodziny i Dziecka" — miesięcznik p. t. „Dom i Szkoła Powszechna". Nowe czasopismo będzie omawiało zgodnie z tytułem współpracę domu ze szkołą w jak najszerszym zakresie oraz wszelkie zagadnienia związane z wychowaniem dziecka w okresie szkoły powszechnej.

„Rodzinę i Dziecko" spotyka niekiedy zarzut, że zajmuje się nadto dzieckiem inteligenckim, uprzywilejowanym, za mało uwzględniając warunki życia dziecka w środowisku niezamożnym. Zarzut ten częściowo jest słuszny. Niestety — skromne rozmiary czasopisma w obawie przed nadmiernym rozproszeniem się nie pozwalają uzupełnić tych braków. Chęć wyrównania tej luki oraz wielka różnorodność zagadnień wskutek rozpiętości szkolnego wieku dziecka (szkoła powszechna, gimnazjum i liceum), stają się dla nas bodźcem do wypuszczenia w świat nowego, na razie skromnego pisemka, które będzie dążyło w miarę możności do omawiania i wnikania w potrzeby i warunki najszerszych warstw dzieci, uwzględniając nie tylko trudności wychowawcze wynikające z nieznajomości psychiki dziecięcej lub metod wychowawczych, lecz również i sposoby przełamywania braków materialnych, niedostatku i biedy.

Jest rzeczą jasną, że zadanie powyższe może być realizowane tylko w oparciu o jak najbliższy, jak najserdeczniejszy kontakt między domem rodzicielskim i nauczycielem, aby przez wspólny wysiłek d o b r z e w y c h o w a ć k a ż d e d z i e c k o w P o l s c e.

Zygmunt Gryń.
Katowice.

DONIOSŁOŚĆ AKCJI WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY NA ZAOLZIU.

Na oderwanym od Macierzy przed sześciuset laty Śląsku Zaolziańskim powiewa dziś sztandar biało-czerwony. Łopoce dumnie na nim Orzeł Biały. Powrót Zaolzia urasta dziś do wydarzenia nie mającego równie wymownego precedensu w historii ludzkości.

Cud ten stał się możliwym dzięki temu, że mieszkał tam i gospodarzył od wieków wierny lud polski, chłop i robotnik. Cud ten ziścił się głównie dlatego, że śniły o nim pokolenia całe, przywiązane głęboko do ojczystej mowy i zwyczaju.

Marszałek Śmigły-Rydz, objeżdżając te ziemie, słusznie złożył hołd matce-Polce, która mlekiem swych piersi, polskim mózgiem i polskim sercem kładła podwaliny pod odrodzenie narodowe i obecne połączenie rozdartej piastowskiej ziemicy.

Byłoby dziś wielkim błędem przy układaniu bilansu oświatowego i wychowawczego pominąć tak dostojną instytucję wychowawczą, jaką jest dom rodzinny na Zaolziu, ten dom, który przez sześć wieków był świątynią i kuźnicą jestestwa narodowego.

Dlatego równocześnie z przejmowaniem szkolnictwa przez nasze władze, równocześnie z organizacją nowych zakładów naukowych i pracowni, należy pomyśleć o złączeniu wspólnych wysiłków domu i szkoły. Współpraca ta wydać może i powinna wiele obopólnych korzyści.

Nie zapominajmy, że język polski na Zaolziu został, mimo wszelkie wysiłki, mocno skażony przez robotę czeską, nie zapominajmy, że pewne ości niezgody partyjno - politycznej pozostawiły swój osad, że działalność partii komunistycznej również nie była całkiem bezpłodna, że wreszcie i obecnie działa na Zaolziu skrycie wroga nam propaganda czeska, podsycana przez Komintern moskiewski.

Doświadczenia życiowe, praktyczne rodzin polskich na Zaolziu muszą się dziś spleść umiejętnie z wiedzą i praktyką nauczycielstwa polskiego, które zawsze ofiarnie pracowało dla sprawy narodowej. Będzie to tym łatwiejsze, że znakomita większość nauczycielstwa zaolziańskiego to tubylcy, to synowie tej ziemi. Jedni potrafili przysłonić swą owocną działalność nimbem tajemniczości, ukryć swe czyny przed władzami praskimi, inni — zdemaskowani emigrowali w dalsze dzielnice Polski, głównie w Krakowskie i Śląskie. Dziś prawie wszyscy ochotniczo wracają do swych rodzinnych wsi i miast, by podjąć rękojeść pługu oświatowego na nowo, by orać w dalszym ciągu i wyrywać chwasty, wyrosłe z niewoli.

Współpraca rodziny i szkoły ma przed sobą pola i horyzonty, a odpowiednio zorganizowana, może rozporządzać poważnymi środkami realizacji.

Opieka nad dzieckiem zaniedbanym, rozbudowa szkolnictwa specjalnego zawodowego, przedszkoli, świetlic uczniowskich i rodzicielskich, rozbudowa teatru ludowego i szkolnego, spółdzielczości szkolnej, rozbudowa sieci bibliotecznej i przepracowanie zagadnienia najodpowiedniejszej książki dla dziecka Zaolzia, oto szereg zadań pierwszorzędnej wagi.

W dalszym ciągu współpraca ta musi objąć wymianę młodzieży zaolziańskiej na okres wczasów letnich, organizację wycieczek krajoznawczych po Polsce, piśmiennictwo dziecięce oraz życie społeczne młodzieży szkolnej.

Czyż jest do pomyślenia realizacja tych wszystkich prac bez udziału rodziców? Zapewne nie. I dlatego już dziś nauczycielstwo polskie myśli o wielu rzeczach nawet luźnie związanych z pracą szkolną, ale posiadających ogromną wagę społeczną i narodową. Nie możemy nie tylko niczego uronić z dorobku szkoły polskiej w zaborze czeskim oraz z dorobku rodziny polskiej, ale musimy dobra duchowe pomnażać, musimy je wpleść w całość organizmu oświatowego, kulturalnego i gospodarczego Polski.

Nie można tu również pominąć faktu, iż atmosfera życzliwości i szczerego oddania się sprawie polskiej ze strony domu zaolziańskiego, wytwarza ten pożądany, ciepły klimat społeczny, w którym najlepiej dojrzewają myśl i czyny. Atmosferę tę należy umiejętnie wykorzystać dla dobra szkoły i dziecka polskiego na Zaolziu.

Ze względu na wielkie uprzemysłowienie tej dzielnicy oraz rozbudowujące się szkolnictwo zawodowe, wielkim wzięciem cieszyć się będą napewno poradnie zawodowe, jakie winno stworzyć nauczycielstwo przy poparciu rodziców i władz szkolnych. Skierowanie właściwego człowieka do odpowiadającego jego zdolnościom i zainteresowaniu zawodu nabiera w tej dzielnicy szczególnego znaczenia i stanowi o racjonalnej gospodarce materiałem ludzkim z jednej strony, z drugiej zaś staje się czynnikiem usprawnienia naszego gospodarstwa narodowego na Zaolziu.

Współpraca rodziny ze szkołą na Zaolziu wyda wielkie plony, ale podejście do niej musi być rzeczowe, szczere i rzetelne. Cele muszą być jasne i jasno sprecyzowane miejscowej społeczności. Odnośnie samych rodziców należałoby pomyśleć o stałej organizacji akcji wycieczkowo - krajoznawczej pod egidą tamtejszego nauczycielstwa. Przez poznanie kraju wiedzie droga do miłości Ojczyzny.

Wiktoria Hesslówna.

Kraków.

PSYCHOLOG SZKOLNY.

Już dosyć dawno mówi się o roli psychologa szkolnego, o konieczności jego stałej współpracy ze szkołą i z domem rodzicielskim w celu wychowywania młodzieży, a zwłaszcza t. zw. „trudnych dzieci", których postępowanie i nauka sprawiają wiele kłopotu zarówno w szkole jak i rodzinie.

Od kilku lat problem psychologa szkolnego został już teoretycznie rozwiązany, w instytucjach naukowych i społeczno wychowawczych zgodzono się prawie jednozgodnie i z całym przekonaniem, że w każdej szkole powinien znajdować się psycholog szkolny i że powinien pracować w niej na równi z gronem nauczycielskim. Wyznaczono mu ścisłą rolę w tej pracy i odrębne stanowisko, ale jak dotąd rola ta i stanowisko znalazły realizację tylko w bardzo niewielu zakładach.

Stanowisko psychologa szkolnego wymaga pewnych obciążeń budżetu szkolnego i pewnych zmian, które jak wiemy nie łatwe są do przeprowadzenia. W czasach obecnych główną wagę przywiązuje się do rozbudowy szkolnictwa — tak, ażeby największa ilość młodzieży mogła z niego korzystać, do dostarczania szkołom niezbędnego materiału naukowego, pomocy szkolnych i t. d. Szkoły powszechne i średnie przepełnione są młodzieżą, brak jest klas szkolnych do jej pomieszczenia, brak gabinetów, pracowni do ćwiczeń, sal gimnastycznych... zatem, chociaż zgodzono się z ważnością roli psychologa szkolnego, na wprowadzenie go do szkoły czeka się na „lepsze czasy".

Należy jednak zdać sobie sprawę z tego, że właśnie w tych trudnych czasach, w trudnych warunkach wychowawczych zarówno dla szkoły jak i dla rodziców, rola psychologa szkolnego staje się wprost niezbędną. Trudne warunki wychowawcze wynikają z ogólnie trudnych warunków społecznych, z ogólnego niepokoju, braku stałych kryterjów postępowania, z ciężkiego położenia finansowego. Rodzice zajęci często oboje pracą zarobkową, przemęczeni i zdenerwowani, nie potrafią podołać obowiązkom wychowawczym. Widzą złe postępowanie i wady dzieci, boleją nad nimi i czasami, chcąc im dorywczo i gwałtownie przeciwdziałać, wywołują tylko gwałtowny opór i niechęć u dzieci.

Rzecz naturalna, że rodzice mają swój własny pogląd na świat, wytworzony przez czynniki osobiste, wrodzone i przez doświadczenie życiowe... I ten swój dojrzały pogląd starają się często dzieciom narzucić i poprzez niego patrzą na ich postępowanie, bagatelizując nieraz jedne przewiny a wyolbrzymiając inne, te, według zdania rodziców, godzące w dobrą egzystencję całej rodziny czy samego dziecka.

Dzieci mają również swój własny pogląd na świat, na ludzi i na rodziców, pogląd niedojrzały i zwykle ujemnie krytyczny, dostrzegający często najmniejsze wady dorosłych, a niezdolny do zrozumienia istotnych zalet. Pogląd jednak swój własny, którego nakazem ani groźbą zmienić nie można. Z różnicy tych poglądów wyrasta zwykle niechęć między rodzicami i dziećmi. Niechęć niemiła dla obydwu stron i wywołująca nieodpowiednie postępowanie rodziców i złe czyny dzieci... Gdyby ktoś trzeci umiejący patrzeć i widzieć, ktoś życzliwy i znający się na życiu, na jego objawach społecznych i psychicznych, porozmawiał z rodzicami o ich trudnościach wychowawczych i także umiejętnie porozmawiał z ich dzieckiem, pewnie niejednokrotnie udałoby mu się oświetlić obu stronom ich postępowanie i skłonić do jego polepszenia. Udałoby mu się usunąć szkodliwą niechęć między rodzicami i dziećmi i przywrócić niezbędne dla normalnego wychowania wzajemne porozumienie.

Rodzice, nie mogący sobie poradzić z trudnymi do wychowania dziećmi, spodziewają się, że szkoła powetuje braki wychowania domowego, że znajdzie na nie „jakiś sposób" i przyczyni się do normalnego rozwoju i pracy dziecka. I istotnie szkoła w wielu wypadkach wpływa dodatnio

na zmianę postępowania dzieci. Jeżeli dziecko natrafi w niej na życzliwych kolegów wywierających nań dobry wpływ, jeżeli chętnie podporządkuje się jej wymaganiom i przepisom, to istotnie szkoła powetuje braki wychowania domowego.

Jednakże doświadczenie szkolne i obserwacje młodzieży wykazują częściej mniej korzystne przykłady. Dziecko, źle chowane w domu, cały szereg wad i ujemnych nawyków przynosi ze sobą niejako do szkoły i tutaj usiłuje je nie tylko kontynuować, ale nawet spotęgować w koleżeńskim współżyciu. Wówczas szkoła słusznie zwraca się z pretensjami do domu rodzicielskiego.

W klasach nawet szkół średnich mieści się około 50-ciu uczniów, którzy, jeżeli nie podporządkują się przepisom szkolnym i zaczną pozwalać sobie na indywidualną samowolę, utrudniają pracę nauczycielowi i, co gorsza, nie pozwalają normalnie pracować kolegom. Szkoła musi dbać w równej mierze o dobro wszystkich uczniów, musi ochraniać słabszych przed objawami samowoli silniejszych. Szkoła musi wymagać od ucznia, ażeby w pewnym czasie przyswoił sobie wymaganą przez jej programy naukę.

Jak wspomniano, szkoła wobec złego zachowania i braku nauki ucznia, zwraca się z pretensjami do domu rodzicielskiego... I tutaj zaczyna się konflikt między szkołą, względnie nauczycielem, rodzicami i uczniem.

Zanim przystąpimy do dalszych rozważań, zastanówmy się nieco nad rolą nauczyciela w szkole, nad warunkami jego pracy, nad jego odpowiedzialnością i nad obowiązkami, którym podołać musi. Zaznaczyć należy, że uwagi te i refleksje dotyczą przeważnie nauczycieli szkół średnich, posiadających w pewnym zakresie specjalne studia i uczących tylko pewnych przedmiotów.

Nauczyciel - specjalista w swoim przedmiocie, np. historyk, czy matematyk, rozkłada sobie plan pracy według poleceń programu i do spełnienia tego planu jest zobowiązany. Naukę musi udzielać uczniom w ściśle wyznaczonym czasie, w ściśle oznaczonych na jego przedmiot godzinach. w których ponadto obowiązany jest sprawdzić, czy uczniowie przyswoili ją sobie należycie. Oprócz tej pracy, spoczywają na nim liczne obowiązki zabierające dużo czasu i absorbujące uwagę; a to czynności administracyjne szkoły, utrzymywanie gabinetów, sprawowanie dyżurów, konferencje, pisanie świadectw i sprawozdań, chodzenie do teatru z młodzieżą i na koncerty szkolne, branie udziału w licznych uroczystościach i obchodach, zebrania i godziny informacyjne dla rodziców. Przy tym prawie każdy nauczyciel spełnia bardzo absorbujący go obowiązek „wychowawcy klasowego”, i musi dbać o to, ażeby oddani jego opiece uczniowie pewnej klasy podporządkowali się wymaganiom całości pracy szkolnej i ażeby życie jego klasy rozwijało się zgodnie z ideałami społeczeństwa i szkoły.

Te wszystkie zadania i obowiązki wymagają wiele czasu i jeszcze wię-

cej niż czasu, wymagają wiele sił psychicznych od nauczyciela, (a te, jak wiemy, nigdy niespożytymi nie są).

Najuciążliwszą częścią pracy nauczyciela jest obowiązek stawiania stopni, ocen, które nie zawsze spotykają się z aprobatą rodziców.

Zwłaszcza, jeżeli chodzi o wyżej wspomniane „trudne dzieci", trudne czy to z powodu nieodpowiedniego wychowania w domu, czy też z innych powodów, chociażby natury chorobowej fizycznej, czy psychicznej, niezadowolenie rodziców z ocen, przybiera formy wielkiego, ale często niesłusznego żalu do nauczyciela i do całej szkoły. Rodzice dotknięci boleśnie w swoje najczulsze uczucia i w swoją ambicję ojcowską, nie chcą znač istotnych przyczyn niepowodzenia dziecka w szkole, po której spodziewali się, że powetuje braki wychowania domowego, nie chcą znać ludzkich możliwości nauczyciela, wymagają od niego więcej, niż to z jego nawet najszerzej pojętej roli wynika.

Nowoczesna pedagogika ze swoimi popularnymi zagadnieniami dotarła już do szerszej publiczności i dosyć często słyszy się, np. o trudnym dla rozwijającej się młodzieży okresie dojrzewania i o innych objawach. Niestety i tych zwykle powierzchownie poznanych zjawisk zaczyna się nadużywać „w walce" o dobre stopnie dziecka.

„Ależ mój syn jest w okresie dojrzewania, a profesor tego nie uwzględnia i daje mu niedostatecznie z historii".

Jeżeli nauczyciel zwraca się do rodziców z żądaniem, aby wpłynęli na syna, niestosującego się do przepisów szkolnych i zachowującego się nieodpowiednio, np. bijącego kolegów, rodzice z całą otwartością przyznają się do swojej bezsilności wychowawczej... „Co ja się go naproszę, co ja mu się nagadam i nic nie pomaga... Ja wiem, panie profesorze, że on jest nicpoń, ja wiem. Ja pana profesora poproszę, żeby na niego wpłynął, bo on mnie zupełnie nie słucha".

Wymaga się od nauczyciela, żeby był dobrym specjalistą w swoim przedmiocie, dobrym administratorem w sprawach szkolnych, znakomitym psychologiem, przy tym sędzią i adwokatem zarazem.

Psychologiem i wychowawcą trzeba przede wszystkim być nie tylko z wykształcenia, ale i z powołania, trzeba się nim według popularnego określenia „urodzić". Nie każdy zaś młodzieniec studiujący na uniwersytecie matematykę, geografię czy historię i zajmujący potem stanowisko nauczyciela w szkole średniej, zdolności te całkowicie posiada i nie można ich od niego rygorystycznie wymagać.

Wiemy o tym, że każdy sędzia, tak jak i adwokat, jest również prawnikiem, i że w pewnym zakresie, wydając wyroki uwzględnia według własnego sumienia różne okoliczności łagodzące przewinę, nie żądamy jednak od niego, ażeby przejął się całkowicie rolą adwokata i tak jak on w zupełności uniewinniał osądzonego.

Przykład może zbyt odległy od szkolnictwa, ale wykazujący z nim pewną analogię. I nauczyciel, wydający oceny za pracę ucznia i za jego za-

chowanie się w pracy szkolnej, ocenę nie małej wagi dla obecnego i nieraz dalszego życia ucznia, spełnia wobec niego niejako rolę sędziego.

Od nauczyciela wymaga się zaś bardzo często, ażeby pominąwszy obowiązujące go normy ocen, i mimo własnego sumienia, wydał opinię dodatnią tam, gdzie obowiązek nakazuje mu wydać przeciwną. Być może, że zmieniłby swoją ocenę na korzyść ucznia, gdyby mu ktoś umiejętnie (jak adwokat sędziemu) i ze znajomością szkolnych możliwości, przedłożył sprzyjające po temu fakty.

Domyślamy się, że rolę taką mógłby spełnić psycholog szkolny. Rozważania powyższe zdążały do tego, ażeby rolę tę wykazać jako konieczną dla osiągnięcia większych rezultatów wychowawczych w zachwianych ogólnie warunkach społecznych, ażeby o ile możności stworzyć na terenie wychowania szkolnego jakiś czynnik równoważący wynikłe często bez niczyjej winy, ani złej woli nieporozumienia i niedociągnięcia wychowawcze, zarówno domu jak i szkoły.

O psychologów szkolnych powinni starać się wszyscy wychowawcy, wszyscy rodzice (patronaty szkolne). Rola ich wydaje mi się wprost niezbędną we współczesnej szkole, zwłaszcza szkole średniej. (Szkoły powszechne od kilku lat zaczęły już prowadzić poradnie wychowawcze).

Zastanówmy się obecnie bliżej nad samą funkcją wychowawczą psychologa szkolnego.

Psychologiem szkolnym powinien zostać przede wszystkim nie tylko ktoś, posiadający odpowiednie przygotowanie naukowe (nazwijmy fachowe), ale ktoś, posiadający wrodzony talent rozumienia drugich ludzi, wczuwania się w ich jaźń niejako, ktoś „współczujący", czyli według terminów psychologicznych, ktoś odczuwający stany psychiczne innych ludzi.

Domyślamy się, nie bez wielkiej słuszności, że na psychologa szkolnego, względnie na poprzedzające to stanowisko studia, pójdzie tylko ktoś czujący zamiłowanie do zagadnień pedagogiczno psychologicznych, tak jak na matematykę np. idzie zwykle ktoś, czujący zamiłowanie do tego przedmiotu. Zamiłowanie zaś przeważnie łączy się z wrodzonymi uzdolnieniami.

Od psychologa szkolnego rodzice zatem słusznie spodziewać się mogą wnikliwego zrozumienia swoich trudności wychowawczych.

Stanowisko psychologa szkolnego, chociaż w teoretycznych i ideologicznych założeniach podobne do stanowiska nauczyciela i wychowawcy, w zasięgu pracy realnej i możliwości wpływu wychowawczego, jest od niego odmienne. (Dotyczy to zwłaszcza trudnych dzieci). Rolę jego można w pewnym zakresie porównać do roli lekarza i adwokata.

Podobnie, jak lekarz chorego, wysłuchuje psycholog stroskanych rodziców i ich dzieci. Rodzice często odczuwają wielką potrzebę swobodnego wypowiedzenia się o swoich troskach i kłopotach wychowawczych. Już samo to wypowiedzenie jest dla nich niemałą ulgą, a przy tym już w czasie opowiadania, nierzadko sami uświadamiają sobie błędy własnego

postępowania. Błędy te nie zawsze wynikają z ich winy, często na nie składa się wiele skomplikowanych czynników całego środowiska domowego. I te czynniki powinien przede wszystkim poznać psycholog szkolny...

Rodzice, ludzie dorośli, którzy sami zwracają się do psychologa szkolnego po radę, przeważnie wiedzą, że należy go odpowiednio zapoznać ze swoimi troskami i trudnościami wychowawczymi. Trudniej przedstawia się sprawa z młodzieżą. Psycholog musi z nią umiejętnie nawiązać kontakt i często z półsłówek i niedomówień, z opisu różnych spraw i sytuacji pozornie odległych, musi odpowiednie wyprowadzić wnioski.

Czasami udaje się psychologowi z niewielkim wysiłkiem dopomóc rodzicom i służyć im odpowiednią poradą wychowawczą, a czasami podobnie jak lekarz poleca im stopniowo różne zabiegi wychowawcze.

Psycholog, nie zobowiązany do stawiania stopni z przedmiotów, może łatwiej niż nauczyciel zdobyć bezpośrednie zaufanie rodziców i dzieci i co najważniejsze, może ich lepiej i łatwiej poznać. Porady jego mogą być wówczas dostosowane do indywidualnych potrzeb, a nie dawane zdawkowo i schematycznie.

Często się zdarza, że „trudne dzieci”, co do których rodzice i szkoła zasięgają porady psychologa, wykazują objawy niezwykłej nerwowości lub posiadają jakieś zaburzenia fizjologicznej natury. W takich wypadkach zwraca się psycholog o pomoc do lekarza specjalisty, z którym wspólnie uzgadniają swoje opinie i porady wychowawcze.

Psycholog, nie zobowiązany do stawiania stopni z przedmiotów, może badań ma możność dokładniej poznać warunki domowe ucznia, niż to może uczynić szkoła, może co za tym idzie poznać dokładniej przyczyny niepowodzenia jego w nauce. W rezultacie, jeżeli uzna za stosowne, może wystąpić w roli niejako obrońcy, który właściwie oświetli sprawę poddanego swojej opiece ucznia przed władzą szkolną (Radą Pedagogiczną).

Psycholog szkolny w obecnie trudnych warunkach wychowawczych, trudnych zarówno dla domu jak i dla szkoły, mógłby stworzyć ważną placówkę wychowawczą i nawiązać między domem i szkołą trudny do osiągnięcia kontakt wychowawczy. I na zakończenie, raz jeszcze zaznaczyć należy, że wszyscy zainteresowani sprawami wychowawczymi i szkolnymi powinni usilnie starać się o to, ażeby stanowisko psychologa szkolnego z teki planów teoretycznych przeszło do realnej rzeczywistości.

Jadwiga Jasnorzewska.

Warszawa.

CHŁOPCY [1]).

Wszyscy doskonale wiemy, że dziecko wzrastając rozwija się nie tylko fizycznie, ale też intelektualnie i uczuciowo. Stopniowo przyswaja sobie różne pojęcia z dziedziny etyki, stopniowo też budzą się w nim pewne ideały. Powoli kształtuje się jego osobowość, rozwijają się takie zalety, jak silna wola, odwaga, stanowczość, niezależność, przedsiębiorczość itp.

[1]) P. „Rodzina i Dziecko” Nr 8 i 9, r. ub.

Psychologowie i lekarze zwykli dzielić stopniowy rozwój fizyczny i psychiczny człowieka na kilka okresów zasadniczych. Z tych w najogólniejszym ujęciu byłyby: okres niemowlęctwa, okres wczesnego dziecięctwa, okres drugiego dziecięctwa, okres trzeciego dziecięctwa, zwany inaczej wiekiem szkolnym, okres przedpokwitania, okres pokwitania, czyli dojrzewania płciowego.

Okres trzeciego dziecięctwa zaczynałby się według istniejącego podziału, mniej więcej w okresie ukończenia przez dziecko lat 7-miu, to jest w czasie, gdy dziecko dostało już stałe zęby, a trwałby do czasu, gdy w organizmie dziecka zaczną zachodzić zmiany zwiastujące zbliżający się okres dojrzewania płciowego. U chłopców więc termin ten byłby osiągnięty przypuszczalnie w wieku około 12-tu lat.

Okres przedpokwitania, trwający u chłopców w granicach pomiędzy 12-tym a 14-tym rokiem życia, jest okresem w którym organizm przygotowuje się jakby do osiągnięcia dojrzałości. Od 14-tu lat to już jest właściwy okres dojrzewania płciowego.

W artykule niniejszym, mówiąc o chłopcach w wieku lat 10-ciu, potrącamy jeszcze o okres trzeciego dziecięctwa, czyli tak zwany wiek szkolny.

Jakie są charakterystyczne cechy owego okresu?

A więc chłopiec w tym okresie winien osiągnąć już doskonałą formę zarówno fizyczną jak i psychiczną. Kościec jego nabiera mocy, mięśnie krzepną, cały organizm tężeje. Odporność na wszelkie choroby wzrasta (wg. Dra Bogdanowicza jest to okres najmniejszej śmiertelności w życiu ludzkim). Chłopak osiągając doskonałość rozwoju fizycznego odznacza się zwinnością, ruchy jego bowiem stają się coraz bardziej precyzyjne i skoordynowane. Dobra forma, w jakiej się znajduje, dobre samopoczucie fizyczne odbijają się także dodatnio i na jego psychice, na jego usposobieniu. Chłopak nabiera pewności siebie, ufności we własne siły, jest świadom swej mocy cielesnej i czuje się z niej dumny. Chciałby podzielić się z otoczeniem swymi spostrzeżeniami w tej dziedzinie. Coraz silniejszą staje się u niego chęć, potrzeba popisania się swą siłą przed innymi, zmierzenia się z rówieśnikami. Zjawia się tęsknota do walk i zmagań, do pokonywania wszelkich trudności. W tym okresie życia instynkt walki, charakterystyczny szczególniej dla płci męskiej, przejawia się w sposób najbardziej może pierwotny. Poczucie własnej mocy wywołuje u chłopca potrzebę większej niż dotychczas samodzielności. Chłopak sam chce się przekonać o swych możliwościach, chce się jeszcze upewnić, umocnić. Dążenie i tęsknota do niezależności i swobody, właściwe inteligentnym jednostkom, zaznacza się w tym okresie życia zupełnie wybitnie. Zjawia się też wtedy u chłopców pewna szorstkość. Czułe matki narzekają na brak wrażliwości uczuciowej, jaką zauważyły u syna. A to da się wytłumaczyć bardzo łatwo: Przede wszystkim chłopak w tym czasie mężnieje psychicznie i nierzadko wstydzi się zdradzić z każdym dziecięcym odruchem, tłumiąc w sobie potrzebę, pożądanie pieszczot. Zachodzi też inna okoliczność:

Oto w okresie, o którym mowa, chłopak pozbywa się dotychczasowego egocentryzmu, charakteryzującego okres poprzedni, zwracając się w stronę świata zewnętrznego. Teraz zainteresowania jego wybiegają daleko poza obręb domowego ogniska. Coraz więcej pociąga go świat i jego dziwy — i nie ma po prostu czasu na okazywanie swych uczuć najbliższym. Życie społeczne w gronie kolegów pochłania też sporą dozę uczucia skoncentrowanego poprzednio na członkach swej własnej rodziny.

Sposób myślenia w tym okresie ulega również wybitnym zmianom. Obserwując baczniej otaczający świat, dziecko uczy się teraz poprawnie rozumować, zaczyna wnioskować i kombinować.

W pierwszym opisanym przez nas wypadku rzuca się w oczy fakt następujący: Chłopak o dobrej inteligencji i różnych dodatnich cechach charakteru, popularny wśród kolegów, wyróżniany

przez nauczycieli nie może zachować się poprawnie w domu. Konflikty z matką zaostrzają się w sposób katastrofalny, doprowadzając chłopca do znacznego zdenerwowania, którego już nie potrafi opanować nawet i na terenie szkoły. Widzimy, że matka jest arbitralna i despotyczna. Ogranicza ona inicjatywę chłopca, traktując go zawsze z góry, wydając mu rozkazy tonem władczym, żądając natychmiastowego spełnienia ich. W wypadkach oporu ze strony syna stara się przełamać jego wolę, zmusić go do uległości.

Naturalnie, rygor, osiągnięcie posłuszeństwa są to ważne czynniki w wychowaniu chłopców. Każdy wie, jak ważną jest dyscyplina.

Ale w wieku, w którym chłopak zaczyna już myśleć, jeśli już nie kategoriami dorosłego człowieka, to w każdym razie już nie jak małe dziecko, w tym czasie trzeba mu dać możność przemyślenia własnych postępków. Dyscyplina, do której trzeba dążyć w tym okresie, winna posiadać charakter wewnętrznej dyscypliny. Wpływy wychowawcze tego okresu winny korzystać z rozwoju intelektu nie polegając tylko na tresurze. Poza tym, wraz z poczuciem własnej mocy w tym okresie, chłopak pożąda pewnego szacunku od otoczenia, nawet dorosłych.

Chce, potrzebuje, by go traktowano poważniej, z uznaniem. Należy mu je dać. Jeżeli chcemy, by chłopak nabrał szacunku dla samego siebie, należy traktować go z szacunkiem. Wszelkie przełamywanie oporu, gnębienie okazywaniem przez dorosłych swej siły i władzy, wszelkie używanie przemocy w stosunku do chłopca, w tym okresie życia jest bardzo niebezpieczne i może rzeczywiście doprowadzić do katastrofalnych rezultatów.

Rodzice winni liczyć się z tym, że chłopak nie będzie stale pod ich kontrolą i nadzorem, że nie może stale ślepo być im posłusznym, potrzebuje on coraz więcej niezależności. Dlatego też rodzice winni stopniowo sami usamodzielniać swe dziecko, pozostając jego przyjaciółmi, do których w każdej chwili będzie miał odwagę zwrócić się o radę i pomoc w trudnych sytuacjach życiowych.

Drugi podany przez nas przykład jest zasadniczo podobny. To znaczy, że tu również matka nie pozwala usamodzielnić się swemu dziecku. Przez zbytnią czułość i troskliwość, a także przez egoizm wiąże go ze sobą, na całe może życie krępując jego swobodny lot. Zbyt wiele pieszczot, nadmierna troskliwość wydelikacają organizm, osłabiają wolę, rozwijają egoizm, nie dają rozwinąć się należycie tendencjom społecznym. Taki wychuchany chłopiec nigdy nie będzie dobrym kompanem. Zawsze będzie się obawiał zbyt śmiałych kroków w życiu.

Nie ma szans by z takiego chłopca wyrósł człowiek stanowczy, odważny, zdobywczy. Rodzice, chowając dzieci swe, winni zawsze pamiętać, że nie wychowują ich dla siebie wyłącznie, ale dla nich samych, dla społeczeństwa.

Kwestia doboru odpowiedniego towarzystwa, odpowiednich kolegów dla dorastającego chłopca jest bardzo ważną. Wiele rodziców martwi się zawczasu w jakie środowisko wpadnie chłopak wyszedłszy spod ich skrzydeł w mury szkolne. Jest rzeczą pierwszej wagi, by rodzice znali przyjaciół syna. Nie należy nigdy bronić chłopcu przyjmowania kolegów u siebie. W bardzo dyskretny sposób należy raczej go zachęcać do zapraszania ich. W ten sposób rodzice mając kontrolę znajomości syna będą w stanie w sposób delikatny, nie rzucający się w oczy, zniechęcać chłopca do nieodpowiednich dla niego znajomości. *d. n.*

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

O wysoki poziom wychowania religijnego naszej młodzieży.

Wychowanie religijne naszej młodzieży jest niewątpliwie najważniejszym elementem wychowania w ogóle, przenikać ono bowiem musi wszystkie dziedzi-

ny nauczania i wychowania, o ile wychować zamierzamy zharmonizowanego wewnętrznie, etycznego człowieka, zdolnego wypełnić wszechstronnie wielorakie obowiązki członka rodziny, społeczeństwa i państwa. „Szufladkowanie" zatem wychowania (jak to czyniono w niedawnych jeszcze czasach) na wychowanie religijne, obywatelskie, estetyczne, etyczne itp. uważam za rzecz niewłaściwą, bo, jakkolwiek problemom religijnym poświęcone są specjalne godziny, religii niepodobna do nich ograniczyć, o ile chcemy uniknąć formalistyki i skostnienia. Należy zatem nie tylko wykluczyć wszelkie rozdźwięki między nauką religii a poszczególnymi działami wiedzy, ale wręcz poszczególne dziedziny wiedzy tam zwłaszcza, gdzie chodzi o zagadnienia etyczne, przepoić ideą chrześcijańską. W pierwszym atoli rzędzie samą dziedzinę religii postawić musimy na wysokim poziomie, by wykluczyć z niej płaskość i nudę, nic bowiem nie zabija tak entuzjazmu jak nuda.

Niektóre pisma religijne dla młodzieży nie stanęły dotąd na należytym poziomie. Wydawnictwo niedbałe, nieestetyczne, reprodukcje slabe, poziom artystyczny zarówno pod względem treści jak i formy niski. A przecież żadna dziedzina twórczości ludzkiej nie jest tak bliska religii jak sztuka. Ona poza religią najbardziej zbliża nas do ideału, wznosi ponad szary, przyziemny byt, daje chwile najwznioślejszych przeżyć wewnętrznych. Młodzież klas wyższych jest pod tym względem w lepszym położeniu, bo może już korzystać z pisma tej miary, co „Kultura" poznańska; byłoby rzeczą wielce pożądaną, by młodzież klas niższych mogła dostać do rąk pismo religijne o równie wysokim poziomie estetycznym i treściowym, jak tamto, dostosowanym atoli do jej wieku. Kościół i szkoła wychowanie religijne postawić powinny na najwyższym poziomie, by młodzież zrozumiała, że są to sprawy tak ważne i szczytne, iż godne są tylko najlepszej i najpiękniejszej formy.

W związku z tym nasuwa się sprawa filmu. Mamy kilka filmów religijnych bardzo pięknych, jest ich jednak niestety bardzo mało. Gdyby udało się zainteresować pisarzy katolickich tą sprawą i skłonić do przygotowania scenariuszy z tej dziedziny, byłoby to rzeczą nieocenioną — szlachetny film religijny ma bowiem wysokie walory wychowawcze i zostawia niezatarte wrażenie. Propagowałabym tu zwłaszcza film o nastroju radosnym, pogodnym, dalekim od cierpiętnictwa, ale nie wykluczałabym też filmu apoteozującego ofiarę i bohaterstwo. Obok scenariuszy osnutych na tle życia Chrystusa i Świętych wiele tematów dostarczyć by mogły obrazy z życia misjonarzy — łączy się tu bowiem motyw chrześcijański z podróżniczym, egzotycznym, co odpowiada zainteresowaniom wieku. Mam natomiast wrażenie, że chybiają celu sceny mąk fizycznych, jakie spotykamy np. w filmach pasyjnych. Wobec faktu istnienia u niektórych dzieci skłonności sadystycznych (z wiekiem ustępują one przeważnie) obawiam się, że film taki stać się może dla takich dzieci swoistą formą wyżycia się, u dzieci zaś dobrych, wrażliwych wywołać może bolesny, nie dający się ukoić, uraz psychiczny. Dramat Chrystusowy to rzecz zbyt wielka, zbyt święta, by robić z niego widowisko. Czasy widowisk pasyjnych należą do przeszłości. Jest natomiast w życiu Chrystusa taka moc momentów pogodnych, jasnych, przez które Boską Jego postać uczynić można dzieciom bliższą i przystępniejszą, niż przez upiorną wizję mąk i poniżenia.

Z problemem religijnego wychowania młodzieży łączy się też sprawa doboru prefektów szkolnych. My starzy umiemy oddzielić kapłana od religii, u młodzieży przedmiot nauczania bardzo często identyfkuje się z osobą nauczyciela. To też na kapłanów, zwłaszcza katechetów i prefektów powoływać trzeba prawdziwą elitę duchową.

A rola domu? W domu dziecko czuć musi atmosferę przepojoną gorącym

przywiązaniem do wiary, głębokim rozumieniem jej zasad i żywą realizacją haseł. Gdy w domu dla religii panuje nastrój obojętny lub nawet wręcz wrogi, nie dziwmy się, że dziecko nasze pozbawione najpewniejszej ostoi, jaką w życiu daje wiara, nie zaznając szczęścia wewnętrznej harmonii, wcześniej czy później padnie ofiarą rozbicia. Nie przeczę wprawdzie, że bywają i bywali ludzie niewierzący, którzy bynajmniej nie ulegli rozbiciu, są to atoli wybitne indywidualności, których treścią życia była jakaś wielka idea. Pamiętajmy jednak też o tym, że większość ludzi wielkich odznaczała się gorącą wiarą, która stała się dla nich źródłem wielkich natchnień, a dla ludzi przeciętnych wiara jest jedyną siłą, wznoszącą ich ku ideałom.

Cóż jednak czynić, gdy nam samym brakuje wiary? Wszak wiara jest darem łaski. Kłamać dziecku wiarę też trudno. Walczyć o wiarę dla siebie, wyjść ku niej, szukać jej i zdobywać to nasz obowiązek, chodzi tu bowiem o skarb bezcenny, o duszę naszego dziecka.

Maria Sobek.
Krosno

Kilka uwag o nowej szkole.

Szereg lat współpracy ze szkołą i rodzicami na terenie Patronatów upoważnia mnie do zabrania głosu w sprawie szkoły.

Wydawanie sądu o dzisiejszej szkole i wyciąganie zasadniczych wniosków jest jeszcze przedwczesne, gdy dopiero w końcu tego roku szkolnego pójdą w świat i do wyższych uczelni pierwsi absolwenci liceów. Pragnę więc rzucić tylko kilka uwag, odnoszących się do realizowania reformy szkolnej. Z uwagami moimi zgadza się wiele rodziców, choć na ogół jest rzeczą niesłychanie trudną wyłuskać bezstronny sąd rodziców o szkole.

Wiemy, że najczęściej patrzą oni na szkołę oczami dzieci i wiemy, że zwykle od zdolności tych dzieci, ich łatwego, czy trudnego przyswajania sobie wiadomości naukowych, nawet od ich sympatyj do poszczególnych nauczycieli zależy sąd i to bardzo nieraz bezwzględny o szkole. Minimalna ilość rodziców interesuje się poważnie nauką dzieci, zna podręczniki szkolne i stara się zrozumieć istotę reformy szkolnej.

Utyskiwania rodziców dotyczą najczęściej: 1) spraw finansowych, to jest obciążenia opłatami, 2) konieczności częstej zmiany szkoły (powszechna, średnia, liceum), 3) braku podręczników dla liceów, 4) przeciążenia zajęciami szkolnymi. Odpowiedzieć na to można, że i bez reformy szkolnej, niezasobny skarb Państwa byłby zmuszony wprowadzić do szkół te same opłaty, przepełnienie szkół jest rzeczywiście wielką bolączką, na którą trzeba znaleźć lekarstwo, narzekanie na przeciążenie uczniów jest często niesłuszne, gdyż polega zwykle na nieumiejętnym przez ucznia rozłożeniu nauki. Pozostaje zasadnicza sprawa, to jest przedłużenie nauki w szkole powszechnej z czterech na sześć lat i podział dawnego gimnazjum na cztery lata gimnazjum i dwa lata liceum.

Śmiem twierdzić, że najpoważniejszą i trwałą zdobyczą reformy szkolnej jest stworzenie sześcioletniej jednolitej szkoły powszechnej, jednakowego podstawowego wykształcenia dla wszystkich obywateli, z nadbudówką siódmego roku dla tych, którzy dalej kształcić się nie będą.

Narzekają nauczyciele, że obniżył się poziom przygotowania do gimnazjum, które lepsze było po dawnych czterech latach, niż dziś po ukończeniu przez ucznia sześciu klas. To napewno ulegnie poprawie i nie zmienia słusznej zasady przedłużenia nauki szkoły powszechnej.

Inna sprawa, to podział gimnazjum na gimnazjum jednolite i licea różnego typu. Jak na wstępie zaznaczyłam, jest rzeczą przedwczesną krytykowanie pro-

gramu, gdy nie wiadomo jeszcze, jakie da rezultaty. Nasuwają mi się jednak następujące uwagi. Mam wrażenie, że popełniono zasadniczą pomyłkę, przeznaczając ogólnokształcące licea tylko dla wybitnie zdolnych uczniów, którzy zamierzają uczęszczać do wyższych uczelni, i stwarzając licea zawodowe, które ogół rodziców — jak się okazało — tak niesłusznie uważał za szkołę przeznaczoną dla tych mniej zdolnych. I oto odrazu okazało się, że licea zawodowe wymagają równie zdolnych uczniów, lecz w specjalnych kierunkach, a więc stały się z natury rzeczy trudniej osiągalne, a do liceów ogólnokształcących zaczęły tłoczyć się całe masy uczniów, najczęściej właśnie bez specjalnych uzdolnień, czy zamiłowań. Stąd przepełnienie klas i te rzekome trudności, gdyż program był opracowany dla zdolnych, jeżeli już nie wybitnych jednostek.

Dalej drugi „błąd": Podzielono liceum ogólnokształcące na humanistyczne, matematyczno - fizyczne, przyrodnicze i klasyczne z myślą, by uczniowie, którzy zechcą pójść na wydział filozoficzny czy prawniczy, przeszli typ humanistyczny, ci zaś, którzy zamierzają studiować przyrodę, medycynę, czy nauki techniczne aby kształcili się w liceach odpowiedniego typu, w których nacisk kładzie się na matematykę, fizykę, chemię, geografię itp. Otóż, skoro uczeń czy uczennica wybiera się np. na medycynę i kilka lat życia poświęcić musi ciężkiemu zawodowi studium (które przecież zaraz na pierwszym roku uwzględnia fizykę i chemię) czy nie byłoby lepiej, żeby przedtem, to jest do 18 roku życia zapoznał się w szkole gruntowniej z historią, literaturą, łaciną, nauczył się jednego z nowożytnych języków, by nabrał właśnie trochę więcej tego humanistycznego wykształcenia, tak bardzo potrzebnego do orientowania się w dziejach kultury ludzkiej? Wiele rodziców oddało tylko z tego powodu dzieci do liceum humanistycznego, mimo zamiaru ucznia studiowania później medycyny czy przyrody.

Mam wrażenie, że większość rodziców wypowiedziałaby się za powrotem do sześcioletniego, ogólnokształcącego, humanistycznego typu gimnazjum. Młodzież, którą specjalne zdolności skłaniają do pójścia już w 16-tym roku życia do szkoły zawodowej, może to zrobić po ukończeniu czterech klas gimnazjum, tak jak to dawniej szli uczniowie po 6-tej klasie gimn. na farmację, czy zdawali specjalny egzamin na urzędników poczty czy inn.

Reforma szkolna przemieniła szkołę, która tylko uczyła, na szkołę, która także wychowuje. Z radością zaznaczyć pragnę odrazu, że pod względem wychowawczym, szkoła spełniła w stu procentach swoje zadanie.

Jeżeli porównamy szkołę dawną z dzisiejszą, to bezsprzecznie uznamy, że dawna szkoła dawała wprawdzie większą ilość naukowych wiadomości, była jednak oderwana od życia i nie przygotowywała do poznania tych różnorodnych zagadnień, z którymi zetknąć się miała młodzież zaraz po opuszczeniu szkoły.

Obecnie samorząd szkolny, dobrze pojęty i prowadzony, stawia młodzieży szereg spraw do przemyślenia i załatwienia, które — w miniaturze — dają wyobrażenie o udziale jej w przyszłym życiu społecznym, uczą solidarności, stwarzają poczucie odpowiedzialności. Dawne kółka samokształcenia rozszerzyły się o zakres wszelkiego rodzaju pracy społecznej. Młodzież bierze udział w obchodach narodowych, nie w akademiach dla niej urządzanych, lecz przez nią samą obmyślanych i wykonanych. Szkoła nie tylko z książek uczy dziejów Ojczyzny, młodzież objeżdża ziemie polskie z krańca do krańca, poznaje naocznie piękno przyrody, zabytki, wycieczki dają jej możność zetknięcia się z ludnością różnych dzielnic, z ich zwyczajami, mową, strojem nawiązuje kontakt drogą korespondencji z młodzieżą cudzoziemską, rozszerza tą drogą zakres swych zainteresowań, które wychodzą poza ciasny krąg nie tylko własnej szkoły i rodzinnego miasta, ale sięgają za morza, góry, rzeki...

Do liceów żeńskich wprowadzono nowy przedmiot: przysposobienie do obrony kraju. Dziewczynki zapoznają się z dziejami udziału kobiet w walkach o niepodległość, dowiadują się o różnych rodzajach pomocniczej służby wojskowej, z parodniowej praktyki w szpitalu mogą się już zorientować, jaki będzie ich udział w ewentualnej wojnie, do jakiego rodzaju pracy mają zdolności czy zamiłowanie. Męska młodzież przechodzi w szkole przysposobienie wojskowe i — jak zawsze w takich razach — od władz zwierzchniczych zależy, czy nie przeciąża się młodych sił zbyt trudnymi ćwiczeniami czy forsownymi marszami, na co się nieraz skarżą rodzice.

W ogóle z chwilą, gdy reforma szkolna wprowadziła także rodziców na teren szkoły, jest nie tylko ich prawem, lecz i obowiązkiem informować szkołę o tych niedomaganiach, które dostrzegają. Szkoła bowiem bez pomocy rodziców nie jest w stanie spełnić tych wszystkich zadań wychowawczych, które na nią spadły. Najważniejszą rzeczą w wychowaniu jest unikanie rozbieżności, linia wychowawcza rodziców musi więc być w zupełnej zgodzie z ideowym programem szkoły. Dlatego i rodzice muszą się informować i kształcić i do tego celu służą Patronaty, których zadaniem jest urządzanie dla rodziców odczytów z zakresu programu nauczania, psychologii, pedagogii itp.

Obserwując od lat świat nauczycielski widzę, jak bardzo jest przeciążony nie tylko nauczaniem, lecz tym, czym żyje nasza młodzież w szkole poza nauką.

Wszystkie zbiórki, kółka, zebrania popołudniowe odbywają się w obecności nauczycieli, którzy prawie że się nie rozłączają dzień cały z młodzieżą.

Otóż funkcje popołudniowe powinni stanowczo objąć (zdolni do tego) rodzice, a więc wszelkie dyżury w świetlicach szkolnych, pilnowanie korepetycyj zbiorowych, odbywających się nieraz na terenie szkoły i różnorodnych zebrań uczniów.

Wiele spośród rodziców pracuje społecznie w różnych organizacjach. Niech na czas pobytu dzieci w szkołach przeniosą swoje zamiłowania społeczne na teren szkoły i spełniają swe zadania wychowawcze w ścisłym kontakcie z dyrekcją i nie tylko na korzyść swych dzieci, lecz i tych rodziców, którzy albo nie mają zamiłowań czy zdolności pedagogicznych, albo pracując zawodowo nie mają czasu dla dzieci.

Słyszymy wiele narzekań na młodzież, a za mało podnosi się dodatnich stron uczniów, którzy podejmują wiele pięknych prac na terenie szkoły i poza szkołą.

Jeżeli niektóre rodziny nie umiały stworzyć naturalnej więzi, jaka być powinna między rodzicami i dziećmi, to jedynie na terenie szkoły może udać się jeszcze współżycie i wzajemne zrozumienie młodszego i starszego pokolenia i obudzić się wzajemne zaufanie.

Na szpaltach wielu pism pojawia się od jakiegoś czasu dyskusja na temat dzisiejszej szkoły, krytyka często bezwzględna i bez dobrej woli obiektywnego podejścia do tego tak trudnego problemu.

Pragnęłabym przekonać rodziców i nauczycieli (tak niechętnie nieraz patrzących na „wtrącanie" się rodziców do szkoły), że szkoła, by wypełnić swój program obejmujący naukę i wychowanie, musi jednych i drugich wciągnąć do rzetelnej współpracy i że jak długo rodzice nie zrozumieją obowiązku pomocy szkole w wychowywaniu dzieci, tak długo szkola nie spełni swych zadań.

Program jest rzeczą ważną, ale istotnym warunkiem dobrej szkoły jest dobry nauczyciel, a warunkiem dobrego wychowania młodzieży jest samowychowanie i samokształcenie rodziców, by nie skostnieli w bezruchu, nie poprzestawali na wypowiadaniu starych prawd, lecz zdali sobie sprawę, że tylko idąc z życiem naprzód, poznając dobrze warunki dzisiejszego życia, mogą dzieciom oszczędzić wiele rozczarowań i skierować je na zdrowe tory. *Zofia Szydłowska*

Kraków

Czy warto współpracować?

Śledzę z wielkim zainteresowaniem publiczną dyskusję na ten temat i zadaję sobie pytanie, co spowodowało taką różnicę zapatrywań na kwestię, która dotąd zdawała się w Polsce bezsporną w zasadzie, a podlegającą tylko dyskusji co do takich czy innych form organizacji rodzicielskich. Skąd się wziął ten ton rozdrażnienia, wzajemnych zarzutów i pretensji między tymi dwoma obozami, jakimi stają się dzisiaj rodzice i nauczycielstwo? Tłumaczę to sobie tylko faktem, że wyniki naszych zabiegów wychowawczych nikogo dziś w społeczeństwie nie zadawalają, że metody wychowawcze, stosowane w najlepszej wierze i w głębokim przeświadczeniu o ich skuteczności zawiodły, że młodzież, która wyszła ze szkoły polskiej i z domu w niepodległej już Polsce, daleka jest od tego ideału, jaki sobie postawiliśmy. Kto winien? Szkoła? Rodzice? Każdy z tych dwóch czynników pragnie przerzucić odpowiedzialność na drugi, powtarza się to samo, co w dziedzinie nauczania. Ponieważ poziom intelektualny i zasób wiedzy kończących uniwersytety wydaje się niedostateczny, więc społeczeństwo zaczęło za to winić szkoły akademickie, programy studiów, metody nauczania, a profesorowie wyższych uczelni zaczęli dopatrywać się przyczyn niedostatecznych wyników swej pracy w programach i metodach szkół średnich, zaś te ostatnie przerzucają odpowiedzialność na szkołę powszechną.

Sprawa wychowania i nauczania młodego pokolenia jest tak doniosłą, że wszystkie czynniki za nią odpowiedzialne mają prawo i obowiązek zharmonizowania swych wysiłków dla osiągnięcia wspólnego celu. Czy można je zharmonizować negując współpracę? Czy można się porozumieć wzajemnie, gdy szkoła powie rodzicom: słuchajcie mnie, ufając bez zastrzeżeń, „popierajcie mnie bez reszty", ukorzcie się przed kompetencją nieomylnych wychowawców nauczycieli, wy laicy rodzice, a dom powie: chcę, by mojemu dziecku było w szkole dobrze, by usuwano przed nim wszystkie trudności, by stosowano w szkole tylko takie metody wychowawcze i dydaktyczne, które są odpowiednie dla *mego* dziecka, nic mnie nie obchodzą inne dzieci i ich postępy, chcę ingerencji we wszystkie sprawy szkolne, uznaję się za równie kompetentnego wychowawcę jak zespół pedagogów — nauczycieli, bo mi to przygotowanie dała „natura, instynkt, tradycja i przykład".

To nie jest platforma do wzajemnego porozumienia. Czyż jednak nie jest ono możliwe w ogóle? Czy fakty niesłusznych pretensji tej instytucji, jaką jest szkoła do tej, jaką stworzą organizacje rodzicielskie, Koła Opieki, Patronaty i na odwrót, czy nawet niewątpliwie istniejące fakty niewłaściwego ustosunkowania się wzajemnego, lub nawet jaskrawe przykłady szkodnictwa ze strony rodziców w dziele wychowania, o czym wspomina dr Chirowski, a co napewno znajduje potwierdzenie w życiu, ma przekreślić te wielkie korzyści, jakie każdy nieuprzedzony nauczyciel - wychowawca z jednej, a rozumny ojciec czy matka z drugiej strony muszą dostrzec we wzajemnej współpracy opartej na zasadzie „równi z równymi"? Jeżeli obecnie ani dom, ani szkoła nie są zadowolone z wyniku swojej pracy wychowawczej, to przy zupełnym odseparowaniu tych dwóch czynników wynik byłby pewnie jeszcze bardziej opłakany. Gdyby szkoła zrzekła się wychowywania rodziców, służenia radą, wskazówką, pomocą tym, którzy nie mają teoretycznego przygotowania, a których intuicja zawodzi, to czy przez to ułatwi sobie pracę wychowawczą? Gdyby rodzice odsunęli się od współpracy ze szkołą, czyżby ją przez to mniej krytykowali nie znając jej celów, jej metod, nie rozumiejąc jej intencji?

Współpracowałam przez długie bardzo lata z Kołem Opieki Szkolnej jako delegatka rady pedagogicznej i przyznać muszę, że nie tylko wyniosłam z tej

współpracy wiele cennych dla siebie jako nauczycielki wskazówek pedagogicznych, nie tylko nauczyłam się patrzeć na swoje metody i „chwyty” wychowawcze także pod kątem reakcji na nie poszczególnego dziecka jako wychowywanego w tych czy innych warunkach rodzinnych, ale oceniłam również wagę tej organizacji w kierunku wzajemnego kształcenia się rodziców pod względem pedagogicznym, podciągania tych, którzy przez swą ignorancję wiele popełniali błędów, zrozumiałam jak wiele nieporozumień da się wyjaśnić, jak wielu można uniknąć konfliktów przy takiej współpracy, na wzajemnym opartej zaufaniu.

To też nic dziwnego, że gdy oddawałam do szkoły swego syna, mając możność wyboru szkoły w stolicy, interesowałam się nie tylko kierunkiem szkoły, składem personelu nauczycielskiego, warunkami higienicznymi, liczbą i doborem uczniów w klasach, ale także — i to w dużym stopniu — stosunkiem szkoły do rodziców oraz formą współpracy tych dwóch czynników. I znów w roli matki ucznia brałam żywy udział w organizacji rodzicielskiej i w tym charakterze miałam kontakt z dyrekcją szkoły, z gronem nauczycieli, i znów przeważały raczej dodatnie strony tej współpracy.

Może właśnie dlatego, że w Opiekach, Patronatach itp. przeważają ludzie rozumiejący potrzebę zharmonizowania swych poczynań pedagogicznych ze szkołą, przeważają ci bardziej zainteresowani, doceniający swą rolę wychowawczą, a więc również szczęśliwsi w osiągnięciu wyników swej pracy nad dziećmi, nie zdarzyło mi się zetknąć z takimi jaskrawymi faktami ignorancji, sobkostwa, nietaktu, o jakich wspomina p. dr. Chirowski. Jako nauczycielka zawsze bolałam nad tym, że najczęściej czy to na wywiadówkach, czy w Kołach Rodzicielskich spotykam tylko rodziców lepiej uczących się i lepiej wychowanych dzieci, a właściwie tak mi trudno zetknąć się z tymi, z którymi chciałabym o ich dzieciach pokonferować. Jedynie rodzice zorganizowani w Opiece mieli możność dotrzeć do nich i jakże często był to ten jedyny pomost do porozumienia się z nimi.

Najsłabszą stroną organizacji rodzicielskich jest, zdaniem moim, w wielu wypadkach wysuwanie przez nie na czoło jedynie zadań materialnej pomocy szkole czy uczniom, konieczna byłaby pod tym względem pewna reforma zapewniająca szkole współpracę z organizacją, która nie tylko zbiera składki i rozdziela zebrane fundusze, ale współdziała ze szkołą wszystkimi możliwymi środkami w jej dziele wychowania.

Kwestia nazwy nie gra chyba roli. „Matronaty” nie ustępują „Patronatom”. Cóż poradzić, jeżeli ojcowie nie tylko w szkole, ale i w domu rezygnują z prawa wychowywania swoich dzieci. „Dajcie nam matki”, mówił we Francji Napoleon, a my w Polsce musimy się domagać: „Dajcie nam ojców”. Może i ci profesorowie, którzy nie chcą współpracy z domem, widząc tylko jej negatywne przejawy, inaczej ustosunkowaliby się do niej, gdyby żywszy udział wzięli w wychowywaniu swoich własnych dzieci w rodzinie i przekonaliby się na jej terenie, ile mają do powiedzenia szkole rodzice i jaka z tego może być korzyść.

Zofia Iwaszkiewiczowa.
Wilno

GŁOSY WYCHOWAWCÓW.

Szkolne zabawy taneczne.

Rozmaity mają charakter w poszczególnych szkołach zabawy karnawałowe młodzieży; rozmaitą też mają wartość, zależną od organizacji zabawy i staranności jej przygotowania.

Przed ukazaniem się Okólnika Ministerstwa W. R. i O. P. z dnia 28.XII.1936 r

okres karnawału w niektórych miastach bywał okresem niemal całkowitego wytrącenia młodzieży szkolnej z atmosfery pracy, a bywały i wypadki wręcz fatalnych skutków tego okresu. W miastach mających po kilka szkół średnich młodzież szkolna w okresie krótkiego nieraz karnawału brała udział w tyluż zabawach tanecznych! Na szczęście, wymieniony okólnik unormował tę sprawę: młodzież szkolna od klasy IV-ej gimn. wzwyż może brać udział najwyżej w 2-ch zabawach tanecznych, raz w swojej szkole, raz na zaproszenie innej szkoły.

Okólnik ten wywołał, niestety, niezadowolenie w niektórych ośrodkach. Lecz każdy, kto wychowuje młodzież z serdeczną troską o jej dobro, — po wniknięciu w intencje każdego punktu Okólnika, uzna jego głęboką wartość i z wewnętrznym zadowoleniem przestrzegać będzie ścisłego jego stosowania.

W numerze 2-gim „Rodziny i Dziecka" z roku 1938 ukazała się krótka, lecz jakże ważka notaktka na stronie 57: „o zabawach szkolnych". Autor zadaje w niej pytania, które powinny były głęboko wstrząsnąć sumieniem tych rodziców i wychowawców, do których się odnosiły. Przytaczam je w dosłownym brzmieniu: „Czy należy pozwalać młodzieży wyłamywać się spod zarządzeń władz oświatowych? Czy w czasach, kiedy wszyscy tak usilnie poszukujemy sposobów, żeby wychować młodzież karną i obowiązkową, konsekwentne jest takie salidaryzowanie się starszych z młodzieżą w niestosowaniu do siebie zarządzeń władz? Czy to jest dobry system wychowawczy?"

Kto wiatr sieje, ten zbiera burzę. Kto pobudza, lub tylko pozwala łamać zarządzenia władz szkolnych, ten pracuje na szkodę przyszłości naszego Państwa. Jeśli są tacy wychowawcy, to pracują oni także i na własną szkodę. Czyż mogą oni bowiem spodziewać się posłuchu i szacunku dla siebie samych od swych wychowanków? Czyż mogą wzbudzić i wzmocnić w młodzieży nie tresurę bynajmniej, lecz *karność wewnętrzną*, o którą nam teraz tak bardzo chodzić powinno?

Omawiany Okólnik Ministra „uważa zasadniczo zabawy szkolne taneczne za godziwą rozrywkę dla młodzieży i za jeden ze środków wychowawczych" — i zarazem zaznacza, że „najwłaściwszą porą szkolnych zabaw tanecznych jest okres karnawałowy". Należy więc wymagać od rodziców i wychowawców, by zabawa taneczna dla młodzieży była istotnie środkiem wychowawczym. Jakże to uczynić?

Myślę, że całkowita wartość wychowawcza zabawy leży w ilości i jakości prac, przygotowujących zabawę. Trzeba, by krótki okres zabawy poprzedził dłuższy od niego okres dobrze przemyślanej i dobrze podzielonej pracy samej młodzieży. Zamiast rozważań teoretycznych, podam przykład dla ilustracji.

Organizowałam zabawę międzyszkolną w mieście, gdzie było 6 szkół średnich. Było to na rok przed ukazaniem się wymienionego Okólnika Ministerstwa, a celem naszym było właśnie zapobieżenie temu, by młodzież nie brała udziału w sześciu zabawach tanecznych, urządzanych na własną rękę w poszczególnych szkołach. W zabawie brała udział młodzież trzech starszych klas. W ręce jej oddano wszelkie prace przygotowawcze. Na zebraniu organizacyjnym delegatów szkół powstało kilka komisyj, z których każda miała swego doradcę - nauczyciela.

Zabawa była liczna, jednak nie była tłumna, nie tylko dlatego, że lokal był odpowiednio duży, lecz przede wszystkim dlatego, że poważna i staranna organizacja zabawy wraz z ilością i jakością skoordynowanych prac przygotowawczych wytworzyły atmosferę niecodziennej harmonii i pogody prawdziwie świątecznej. A zadowolenie z dobrze wykonanych zadań poszczególnych komisji wniosło jakąś nutę jasnej młodzieńczej powagi. Wspomnę tu tylko o ładnym i doskonale wykonanym pomyśle komisji dekoratorskiej. Światła lamp i żyran-

doli przechodziły przez wielkie kolorowe witraże, na tematy „Tańców polskich" Stryjeńskiej. Witraże jaśniały i w rogach sali, i wzdłuż ścian, i na scenie. Młodzieńcze pary krążące pomiędzy witrażami, z których każdy był sublimacją tańca polskiego, wyglądały tak pięknie, że nas, wychowawców, ogarniało na widok ten głębokie wzruszenie. Zabawa ta była śliczna. I sądzę, że była środkiem wychowawczym.

*

Należy jeszcze w kilku słowach wspomnieć i potępić t. zw. „prywatki", urządzane przez „kochających" rodziców dla młodzieży szkolnej. Każda taka „prywatka" ze strony rodziców jest przestępstwem wobec własnego dziecka. Konieczność ukrywania jej i starań, by nie doszła do wiadomości szkoły, a nieraz i drwiące lekceważenie nakazów szkolnych, rzucają zasiew złych chwastów w młode dusze, które w pierwszych latach szkolnych z taką ufnością do szkoły się odnosiły. Chwasty te mogą na odpowiednim gruncie zagłuszyć niemal wszystko, co szkoła z wysiłkiem uprawiała.

A nade wszystko pamiętać należy o jednym: system psychiczny i system nerwowy młodzieży jest o wiele wrażliwszy, niż ludzi dorosłych. To, co dla dorosłego jest mało znacznym epizodem, to dla młodocianych jest wydarzeniem wielkiej wagi, mogącym wytrącić z równowagi na długi okres czasu.

Oszczędźmy młodzieży przeżyć, które niepotrzebnie targają jej nerwami. Trzeba zaspakajać głód przeżyć i wrażeń — lecz dobierajmy tylko takie, któreby mogły dźwigać dusze *wzwyż*.

Elżbieta Bąkowska.
Kępno

Kto winien?

Ocena niedostateczna: czyja wina? Ocena ze sprawowania dobra lub odpowiednia: kto winien? Odpowiedź na to łatwa: przecież szkoła, dyrektor, nauczyciel, wychowawca, niekiedy — klasa, koledzy, koleżanki, tylko nie on, nie ona. Oto w większości wypadków głębokie przekonanie rodziców, którzy nie wahają się wypowiadać swego zdania jawnie, a niekiedy bardzo dosadnie wobec dzieci, krytykując szkołę, uzasadniając argumentami wątpliwej powagi swój sąd nieomylny, grożąc interwencją u Dyrekcji itp. itp. — zapominając jaką doniosłą rolę wychowawczą spełniają w danych momentach, jak „dodatnio" oddziaływują na charakter młodego osobnika, jak skutecznie wyrabiają w nim poczucie sprawiedliwości i rzeczowy krytycyzm, zdyscyplinowanie, szacunek dla sumiennej pracy, zapał do niej, jak bardzo podnoszą w oczach młodej osoby autorytet starszych (nie tylko tych ze szkoły, ale i tych w domu) itd. itd. Jest to istotnie bardzo korzystna, płodna w następstwa, reakcja na niedostateczne oceny dziecka.

A czyż inaczej nikt nie reaguje? Owszem. Są rodzice, którzy znów całą winę przypisują tylko dziecku: „Nie uczysz się; co z ciebie wyrośnie, wstyd mi przynosisz, ojca (albo matkę) do grobu wpędzisz" itd. następuje cała litania wzruszających skarg, żalów i budujących wymyślań, podkreślanych wymownym załamywaniem rąk i omal że nie wyrywyaniem sobie włosów z głowy — podczas gdy dziecko wychodzi z siebie, ażeby się uczyć dobrze i przynieść tę wymarzoną trójkę, ale nie może, gdyż jest chore, albo niezdolne, albo nie ma dobrych podstaw z danego przedmiotu i nie może mimo forsownych wysiłków dociągnąć do poziomu klasy.

Ale są też tacy dziwni rodzice, którzy mają zaufanie do Dyrekcji, do nauczyciela i którzy mają odwagę przyjść do niego i razem z nim szukać przyczyny zła i racjonalniejszych sposobów zapobiegania mu. A są jeszcze dziwniejsi ro-

dzice, którzy uprzedzają złe wyniki i przychodzą sami z zapytaniem, czy nie grozi ocena niedostateczna, i zdobywają się na taką szczerość (wobec nauczyciela — tego wroga ich dziecka) iż mówią: „Ja się spodziewam czegoś niedobrego, w ostatnich czasach syn miewa zbyt rzadko książkę w ręce" albo „wydaje się rzeczą podejrzaną, że zbyt często nic nie jest zadane". Dziwni rodzice, prawda? Ale co dziwniejsze, że oni przeważnie dobrze wyczuwają zbliżające się niebezpieczeństwo, w porę porozumiewają się ze szkołą, oszczędzając sobie i dziecku przykrości, ułatwiając mu pracę, ucząc je sumienności w pracy. To są jednak wyjątki. W większości wypadków winowajcami są: niesprawiedliwy nauczyciel, źli koledzy, leniwe dziecko.

Ale są jednak wypadki, gdzie żadnemu z tych czynników nie można przypisać winy. Np. Janek chodzi trzy razy w tygodniu do kina, bo mamusia ma bilety bezpłatne, więc szkoda, żeby się zmarnowały. Janek jest bardzo koleżeński — zabiera więc kolegę, który albo nie ma odpowiedniej opieki w domu, albo wymyka się jej przy pomocy niewinnych kłamstw. Seans wczesny — o godz. szóstej. Powrót do domu wpół do dziewiątej, kolacja — godzina dziewiąta — biedne dziecko odrabia lekcje po nocy, chociaż jest przemęczone. Że też teraz tyle zadają. Gromy na szkołę, ale pomimo tych gromów i pracy po nocach lekcje nie są należycie przygotowane, obydwaj przyjaciele przynoszą po parę ocen niedostatecznych. Kto winien?

Zosia nie idzie do szkoły — chociaż od trzech dni odrabia lekcje po nocach (lektura, przepisywanie zadań itp.), jednak nie zdążyła wszystkiego odrobić. Tyle naraz zadano? No nie, ale tak się złożyło, w ostatnich czasach tyle dni było zajętych, tyle nocy nieprzespanych i niedospanych; nie wieczorki, ale tu imieniny, tam imieniny, to kilka osób przyszło, to zabawa u Jasi, to u Kasi — a Zosia tak się lubi bawić (niezwykłe zjawisko w jej wieku?) — czyż więc może czułe serce matki odmówić; już raczej woli patrzeć na pracę po nocach i szarpanie nerwów przed pójściem do szkoły. Ale mimo tego odrabiania lekcji hurtem — wyniki są niedostateczne. Kto winien? Jasia czy Kasia przynosi świadectwo, iż jest nieprzygotowana „z przyczyn od niej niezależnych", „z wiadomego mi powodu" itp. Rzecz dziwna, że ta siła tajemna działa z niezwykłą mocą i na bardzo szerokim obszarze w niedzielę: Odprute tarcze, nieprzygotowane lekcje, nieobecności — to wszystko występuje z niezwykłym nasileniem w poniedziałek każdy pod wpływem fatalnej, tajemnej sobotnio - niedzielnej siły wyższej. Szkoda jednak, że ta siła wyższa nie liczy się z faktami — jakże wobec niej błahymi — ale niestety konkretnymi, jak z tym np. że jakiś przedmiot bywa tylko raz na tydzień i to właśnie w poniedziałek, i że potem trudno kurs wyrównać, i że w poniedziałki bywają też ćwiczenia klasowe, których lepiej nie opuszczać, i że nauczyciel też ma jakiś plan pracy, z którym musi się liczyć i nie może dopiero, gdy siła wyższa działać przestanie, przepytywać z zaległości, i że nauczyciel bywa niekiedy tak nieludzki, że uważa, iż jeżeli ktoś jest tak często nieprzygotowany, to w rezultacie nie zna kursu. I jeżeli znowu dzięki tej sile wyższej jest ocena niedostateczna — kto winien?

A teraz kilka przykładów w związku z t.zw. sprawowaniem.

Sprawowanie dobre lub odpowiednie: taka dobrze wychowana i ułożona panienka. Rzecz jasna — szkoła się na niej nie poznała. I nie tylko że dobrze ułożona, ale jakie ma wytworne i kunsztu pełne uczesanie. Nałożenie na nie beretu szkolnego byłoby profanacją, godne ono jest jedynie odpowiednio modnego kapelusza. Nic nie szkodzi, że dziewczynka mija się z regulaminem szkolnym, że robiąc modnisię nie może poznać dyrektorki czy nauczycielki, lecz idąc musi patrzeć daleko w przestrzeń lub wpadać od czasu do czasu w bramę, by wyminąć niebezpieczeństwo szkolne w postaci wychowawczyni (jaka ta Warsza-

wa mała) — to wszystko nie jest przestępstwem. Przestępstwem — być może nie; ale czy to nie jest coś spokrewnionego z kłamstwem? I czy przypadkiem dziecko zaprawiane z wiedzą domu do omijania rozporządzeń szkoły nie będzie stosowało tej sztuki — już wydoskonalonej — wobec rozkazów rodziców? A jeżeli za to lekceważenie przepisów szkolnych ma obniżoną ocenę ze sprawowania — kto winien?

A jeżeli na osiedlu szkolnym przybiega do wychowawczyni dziewczynka z płaczem: „Proszę pani to schować, ja mówiłam w domu, że nam nie wolno zabierać na osiedle słodyczy, ale ktoś mi włożył do walizki cukierki i teraz ja będę miała przykrości" — to w tym wypadku kto winien?

Przykładów analogicznych można by przytoczyć wiele, bardzo wiele, można by je mnożyć bez końca, ale myślę, że wystarczą powyższe, jako zagajenie — zapewne ożywionej — dyskusji na łamach pisma. Prosimy o odpowiedzi na powyższe pytania: kto winien?

Dr. L.

PAMIĘCI HANNY Z SZALAYÓW SZYLLEROWEJ.

Dnia 11 grudnia r. ub. zakończyła życie w Warszawie ś. p. Hanna Szyllerowa. Śmierć Jej nagła i przedwczesna jest dotkliwą, niepowetowaną stratą dla naszego czasopisma. Zmarła była nie tylko naszą współpracowniczką, lecz jako doświadczona i wytrawna dziennikarka służyła często radą, zawsze pełna inicjatywy, zawsze usłużna i ofiarna kosztem własnego trudu, jakże często ponad siły. Redakcja nasza nie posiada Komitetu Redakcyjnego. Zastępują go liczni, szczerzy przyjaciele — rozsiani już w tej chwili po całej Polsce, do których zwracamy się w potrzebie, którzy nigdy nie zawiodą. Taką serdeczną przyjaciółką, która nigdy n i e z a w i o d ł a, a w czasach, kiedy jeszcze młodziutkie nasze czasopismo stawiało nieśmiało i niepewnie swoje pierwsze kroki, otoczyła je serdeczną opieką, była ś. p. Hanna Szyllerowa. Sprawy wychowania rozumiała jak bystry, wytrawny pedagog i jak gorąco miłująca dzieci Matka. Odeszła w pełni sił duchowych, pełna entuzjazmu do pracy twórczej i miłości dla ludzi.

Cześć Jej pamięci.

G Ł O S Y R O D Z I C Ó W.

Szczerość potrzebuje klimatu.

Nie znajdę chyba przeciwników, jeśli powiem, że szczerość wogóle winna być podstawą stosunków między ludźmi, a w szczególności musi panować wśród tych, których łączy w życiu wspólna idea lub wspólny cel.

Jeżeli tym celem będzie wychowanie dziecka, to ludźmi związanymi wspólną ideą są rodzice i wychowawcy. C z y m o ż l i w a j e s t w z a j e m n a s z c z e r o ś ć m i ę d z y n i m i? Oto pytanie, które coraz częściej mi się narzuca w miarę jak słyszę i czytam o racjonalnej współpracy domu i szkoły, która tylko przy bardzo szczerym stosunku pomiędzy rodzicami a wychowawcą dać może pożądane wyniki.

Słusznie mógłby ktoś powiedzieć, że pytanie to mieści się w ogólnym zagadnieniu szczerości między ludźmi, że tak w szkole, jak i wszędzie na świecie jest ona zależna od rodzaju obcujących ze sobą jednostek. To prawda, lecz gdy idzie o wychowanie dziecka, kwestia szczerości nie jest już tylko sprawą osobistą którejkolwiek ze stron, lecz staje się warunkiem rozkwitu duszy i umysłu dziecka i najpewniejszym środkiem do osiągnięcia dobrego wyniku wychowawczego. Czymże wobec tego są nasze zastrzeżenia i ambicje, które najczęściej bronią nam z otwartym sercem podejść do wychowawcy i podzielić się z nim troską, jaką nam sprawia charakter lub zachowanie się syna czy córki? Wiemy, że taka otwartość ze strony rodziców jest rzadkim zjawiskiem. Ciż sami rodzice, którzy w zaciszu swego domu, nieraz z głęboką udręką, wyznają sobie zupełną bezradność wobec zatrważających zmian, występujących w charakterze dziecka — do szkoły zjawiają się opancerzeni uprzejmą obcością, i uważają za swój obowiązek brać dziecko w obronę nawet wtedy, gdy wychowawca mówi właśnie to, co tak niedawno było tematem ich poufnej rozmowy. Skąd powstaje ta rezerwa? Co sprawia, że jedni dla drugich wciąż jesteśmy jak gdyby za rzeką?

Powody są różne. I nadmierna tkliwość rodzicielska, i obawa wyrządzenia krzywdy dziecku przez popsucie mu opinii w szkole, i niechęć wprowadzenia obcych ludzi do intymnych spraw rodzinnych — ale przede wszystkim jest to kwestia zaufania. Rodzice muszą wierzyć, że ten, któremu swe troski odkryją, potrafi je zrozumieć i należycie ustosunkować się do nich, muszą czuć, że wychowawca ma gorące serce dla młodzieży. Szczerość potrzebuje klimatu; gdy go nie ma, najsilniejsza nawet racja życiowa nie dobędzie z człowieka otwartego wyznania. Musi w nim powstać samorzutna chęć wypowiedzenia się, odciążenia duszy przez wyznanie trosk, bytujących na jej dnie.

Są wśród wychowawców jednostki, posiadające szczęśliwy dar stwarzania owej atmosfery ufności, owego klimatu, w którym nie wiadomo jak i dlaczego rodzi się szczerość i każda rozmowa nabiera cech porozumienia. Podziwiać trzeba, jak takim ludziom wszystko się darzy w pracy szkolnej.

Znam klasę, która przez szereg lat uchodziła za niezmiernie trudną do prowadzenia. Obok dużych zdolności arogancja, pycha, brak opanowania, lekceważenie szkoły i obowiązków — oto co jej zarzucano. Nauczyciele otrząsali się z niechęcią, udając się tam na lekcję. Wychowawca pracował w pocie czoła, jednak bez wielkich rezultatów. Rodzice wciąż byli molestowani przez szkołę o wzmocnienie środków zaradczych na terenie domu. Zdecydowano wreszcie z rezygnacją, że już tak będzie do końca, nie ma bowiem dość mocnej ręki, któraby potrafiła tak trudny zespół młodzieży opanować. I przyszedł nowy wychowawca, świeżo zaangażowany młody, spokojny nauczyciel. Trwożliwsze matki czekały z biciem serca, rychło li zostaną wezwane do szkoły z powodu „chrztu", jaki wygi klasowe zamierzały obmyślić nowemu wychowawcy. Ale przez czas dłuższy panowała cisza, aż nagle „wygi" zjawiły się do domu z zakłopotanym uśmiechem i, powyciągawszy pomięte tarcze z przepaścistych kieszeni, zwróciły się do matek z prośbą o natychmiastowe ich przyszycie, bo od jutra na życzenie wychowawcy wszyscy muszą mieć te oznaki i to nie przypięte, lecz przyszyte. I wszystko się odmieniło — i atmosfera w klasie, i sami chłopcy, i nieprzyjemni, nierozumiejący szkoły rodzice. Chłopcy ze zdziwieniem stwierdzili, że wobec pana X jakoś nie uchodzą wykręty i kłamstwa: zgrzeszyłeś, bracie, bij się w piersi — nie ma co! A po pierwszej wywiadówce

rodzicielski vox populi orzekł, iż nowy wychowawca takie ma podejście do rodziców, że jakoś mimo woli mówi się z nim szczerze o wszystkim, a jego krytyczne stanowisko w stosunku do syna nie tylko nie rani, lecz wprost zachęca do narady nad wspólną troską.

Nie twierdzę, że taki człowiek nie miewa niepowodzeń. Są wszak rodzice ograniczeni, zarozumiali, lub nierozumiejący swych obowiązków wychowawczych, są też i warunki, kiedy mimo najlepszych chęci z obu stron bliższe porozumienie jest niemożliwe. Przy dzisiejszym przepełnieniu szkół na wywiad lub godzinę przyjęć wychowawcy zjawia się długi szereg rodziców. Po kilkunastu rozmowach ten biedny człowiek jest tak zmęczony, że obojętnieje na wszystko, wrażliwość jego tępieje, a rodzice odchodzą pod zupełnie fałszywym wrażeniem, że sprawa ich dziecka została potraktowana powierzchownie.

Nie jest więc łatwą do zdobycia owa szczerość upragniona, gdy życie samo stawia jej wielkie przeszkody, lecz w pomyślnych warunkach jest możliwość osiągnięcia szczerego porozumienia, tylko klimatu trzeba, klimatu, który w dużym stopniu od czynnika szkolnego jest zależny.

Z. W.

Wyjazdy zimowe młodzieży a koleje.

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, dworzec Wschodni w Warszawie — nieopisany ścisk — ludzie, plecaki, walizy, narty. Cały peron założony bagażem. Stoję razem z córką moją z obozem harcerskim, raptem pada komenda: ruszać, dokąd — nie wiadomo; dziewczynki pośpiesznie biorą ciężkie plecaki, ja chwytam dość ciężką walizę mej córki, która jest do połowy zgięta pod swoim dużym, solidnie wyładowanym plecakiem i pędzimy w tłoku, potykając się o leżące na peronie walizy, plecaki, narty, w niewiadomym kierunku, pilnując tylko harcerki idącej przed nami. Nagle wąż biegnących dziewczynek wykręca nad samym brzegiem peronu, wąskim przejściem, na które jeszcze wystają narty, zamarznięty śnieg, ślisko, z ciężarami, prawie biegiem — naprawdę cud, że zdaje się nikt nie zwalił się z peronu na szyny. Ledwo wykręciłyśmy z niebezpiecznego przesmyka trochę wewnątrz peronu, słyszę za sobą trzask, to jakaś biegnąca za mną dziewczynka wywróciła się. Nie wiem, czy połamała narty, czy sobie co zrobiła, nie mam czasu obejrzeć się, bo zgubię biegnącą przede mną córkę i trudno ją będzie odnaleźć. Nareszcie w określonym miejscu zatrzymałyśmy się i po godzinnym staniu na mrozie obóz harcerski wsiadł do zarezerwowanych przedziałów. Naokoło jednak słyszało się narzekania, że przedziałów zarezerwowanych nie ma. Stoimy i rozmawiamy, młodzież rozhukana i wesoła stoi w otwartych oknach, na stopniach wagonu, raptem pociąg spóźniony o przeszło godzinę po cichutku, bez sygnału rusza, młodzież cofa się ze stopni wagonów do wewnątrz, ospale podchodzi obsługa kolejowa, zamyka drzwi...

Nie wiem, czy udało mi się podkreślić w powyższym opowiadaniu, że młodzieżą naszą opiekuje się Pan Bóg, a ludzie niewiele zrobili dla jej bezpieczeństwa.

Czy obsługa kolejowa nie powinnaby jakoś uregulować zatłoczenia peronu, idzie mi przede wszystkim o to, że peron nie powinien być niemal po sam brzeg zawalony bagażem — powinien chyba istnieć jakiś pas bezpieczeństwa; następnie w chwili odjazdu pociągu, tymbardziej o ile ma się do czynienia z rozhukaną młodzieżą, a odjazd pociągów w związku ze spóźnieniami wogóle jest

niewiadomy — obsługa kolejowa na 5 minut przed odjazdem powinnaby pozamykać drzwi wagonów, okna, i polecić odprowadzającym odsunąć się. Jakieś zarządzenia dla bezpieczeństwa naszej młodzieży powinnyby być chyba wydane, tymczasem jest ona pozostawiona zupełnie samopas, może nawet otoczona jest mniejszą opieką niż dorośli.

Pod adresem organizatorów wycieczek pytanie, czy nie byłoby praktyczniej ekspediować plecaki i narty oddzielnie, jak to podobno niektóre obozy harcerskie robiły.

M. B.

Zorganizowane zdziczenie.

Narty są tak spopularyzowane, tak przystępne niemal dla wszystkich, a specjalnie dla młodzieży przez ulgowe wyjazdy świąteczne, że podczas ostatnich feryj przejechało na narty kilkaset wycieczek. Społeczeństwo całe jest pod znakiem tych radosnych wyjazdów po słońce i zdrowie. Ale społeczeństwo jest przerażone liczbą i siłą, rozmachem, tupetem tych młodych narciarzy jadących zdobywać góry. Narciarz podróżujący prywatnie jest jakiś bardziej cichy, potulny, a w wycieczce jest zorganizowany, czuje *prawo* wycieczki, a więc w konsekwencji w zdobywaniu miejsca królują mocne pięści.

W tym roku tak się nieszczęśliwie złożyło, że akurat w czasie poświątecznych wyjazdów komunikacja była utrudniona, po kilka godzin czekało się na podstawienie pociągu, często w mróz i zawieję, co oczywiście dawało pole do licznych objawów niecierpliwości, bardzo rozmaicie okazywanych. Dość wspomnieć, że na Dworcu Wschodnim w Warszawię pewien numerowy na prośbę, aby za dobrą zapłatą podał rzeczy uczestnikowi wycieczki do wagonu, odpowiedział z przestrachem: „Co? za 20 zł. nie podam, żeby mnie roztratowali? panie, to nie są ludzie, to dzikie stado te wycieczki, gorzej jak bydło".

A wreszcie wszyscy jakoś wepchnięci do rezerwowanych wagonów „urządzają się" tak prędko i tak wrogo dla wszystkich z poza wycieczki, że w pewnym pociągu do Zakopanego lekarz śpieszący do pacjenta ze złamaną nogą (również ofiary zdobywania miejsc przez wycieczki na dworcu w Warszawie), mimo że był poprzedzany przez konduktora, nie mógł się przecisnąć przez liczne doskonale „zorganizowane" wycieczki i spotykał się z propozycją przejścia na zewnątrz wagonu, podczas jakiegoś postoju. Harcerze, zapytani przez tegoż lekarza o łupki, odpowiedzieli, że owszem mają, ale tak głęboko zapakowane, że nie mogą ich szukać, kiedy koledzy poukładali się już spać. Może ktoś śpi albo siedzi na nich akurat.

Jakie więc w tym „zorganizowaniu" wycieczkowym rozwijają się pierwotne instynkty, skoro nawet harcerz, który przyrzeka miłość bliźniego, okazuje się tak bezlitosny i dziki? To zdziczenie młodzieży, o którym się tyle mówi, przejawia się właśnie w gromadnych zespołach. A to niebezpieczny objaw, bo stąd krok do ekscesów najbardziej niehumanitarnych i zwierzęcych.

O cudownej samorzutnej organizacji wśród wycieczek świadczy następujący fakt: do jednego z wagonów (nierezerwowanego dla żadnej wycieczki!) wpada grupa najbardziej „silnych i szybkich" chłopaków, jeden z nich prędko pluje na wyciągniętą z kieszeni kartkę, pisze na niej: „szkoła — zarezerwowane" nakleja na szybę i oto wszyscy chłopcy ze śmiechem i z dumą obserwują jak publiczność karnie omija te przedziały. Cieszą się, że oto tak samorzutnie zarezerwowali wagon i jadą wygodnie, że są tacy zdobywczy, tacy zaradni. Napewno nie zginą.

Iks...

Młodzież szkolna w obozach dla młodych.

Ostatnio coraz częściej na obozach akademickich spotyka się dziewczęta ze szkoły średniej „doczepione" pod opieką starszej siostry czy przyjaciółki. Otóż atmosfera obozów akademickich (czy też innych, w każdym bądź razie dorosłych) przy bliższym wejrzeniu w nią zupełnie nie jest budująca, a przeciwnie jest zupełnie szkodliwa dla młodzieży szkolnej. Chodzi mi o pewne rozluźnienie obyczajów, które dla młodzieży dorosłej, a więc odpowiadającej za siebie — nie jest może niebezpieczne, a bardzo destrukcyjnie wpływa na młodzież szkolną. Dziewczęta z gimnazjum czy liceum wymagają opieki, musi być przestrzegane i uznane pewne kryterium zachowania się. Wódka, papierosy, romantyczne spacery parami przy księżycu, zdjęcia „mocno przytulone" pokazywane z dumą po powrocie przyjaciółkom i komentowane „bo byliśmy tu wszyscy trochę pod gazem", napewno mocno zachwieją pojęcie o tym, co wypada a co nie wypada w psychice młodej dziewczyny, zwłaszcza, że autorytet starszej siostry lub znajomej dodaje blasku i ekscentryczności tryumfom i wyczynom. Jeden taki obóz napewno więcej przyniesie szkody, niż filmy niedozwolone i książki, przed którymi tak staramy się chronić nasze córki.

Jeśli chodzi o obozy, na których jest tylko jedna płeć, to wówczas przy rozdzielaniu pokojów należy zwrócić uwagę na niełączenie dorosłych pań z uczennicami. Uczennice niejednokrotnie skarżą się, że panie dorosłe, przeważnie mężatki, opowiadają sobie o swoim pożyciu małżeńskim, sprawach życiowych i sytuacjach, w których jakkolwiek nie ma nic gorszącego — uczennice i tak wiedzą o nich — ale rozmowy te rażą je i wywołują niesmak, bo jako dorastające dziewczyny jeszcze odmienniej patrzą na te sprawy, niż tamte, kobiety dojrzałe.

E. L.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

W KRAINIE WIELKIEJ PRZYGODY[1]).

„Chwila, w której doraźność zabawy przestaje nas cieszyć, a doznania dziecięce przestają wystarczać, w której nieograniczona w fantazji rzeczywistości zaczyna układać się wzdłuż linii naszej woli, dając pierwsze kontury dróg do przeczuwanych celów wiodące — jest chwilą otwarcia bramy w *Krainę Wielkiej Przyygody*".

Z tych słów autora dowiadujemy się, że Krainą Wielkiej Przygody jest samo życie, lecz nie to, które unosi jak fala, lecz to, które wymaga walki, decyzji i wyboru, by stać się świadomą, dojrzałą i odpowiedzialną całością. Ujęcie to uderza odrazu w sedno najistotniejszego zagadnienia, najbardziej bowiem decydujące chwile w życiu młodocianej jednostki rozpoczynają się wówczas, gdy musi z nieograniczonych możliwości wybrać jedną. Tyczy się to oczywiście nie tylko wyboru zawodu, lecz całego szeregu sytuacji, w których trzeba — czy to w myśli czy w czynie — decydować się na taki a nie inny stosunek do sprawy. W dziecku jest jeszcze materiał na różnych ludzi, każdy rok dorastania każe jednak odcinać rozgałęzienia, by jeden mocny pęd mógł bujnie wyrosnąć. Ta konieczna selekcja, redukowanie możliwości połączone jest nieraz z żalem — każdy bowiem pozytywny krok naprzód jest odcinaniem sobie pewnej drogi, zacieśnianiem terenu swej działalności. Nazbyt pesymistycznie pisze jednak Carrel *(Człowiek istota nieznana)*, iż starzec ze smutkiem widzi naokoło

---

[1]) Janusz Jędrzejewicz. W krainie wielkiej przygody. Państwowe Wydawnictwo książek szkolnych we Lwowie. 1939.

siebie istoty, którymi sam mógłby być; u kresu swego życia winien on bowiem zamiast wspominać możliwości nie spełnione — mieć za sobą twórczy dorobek w jednej, ściśle określonej dziedzinie. By jednak wynik ten osiągnąć, należy przeprowadzać powolną selekcję od lat najmłodszych, selekcję przygotowującą przyszły wybór. Rola starszego pokolenia jest tutaj odpowiedzialna i trudna. Starsi nie mogą młodym nie tylko nic narzucać, lecz nawet podawać gotowych wyników własnego doświadczenia, gdyż są one dla nich bezowocne, a nawet mogą działać hamująco. „Żadne *cudze* doświadczenie choćby najpełniejsze — pisze J. Jędrzejewicz — nie wystarczy. Odpowiedź (na odwieczne pytania) musi być przeżyta we własnej duszy, we własnej myśli, we własnym sumieniu".

I należy przyznać, że autor postępuje w myśl tego słusznego twierdzenia. Nie daje w swej książce żadnych schematów, ani gotowych rozwiązań, lecz podsuwa szereg spraw pod rozwagę młodej, budzącej się myśli. Podsuwając je, stara się tylko o jedno: by zbudzić w niej dynamizm, pragnienie twórczego czynu, niechęć do pogrążania się w rzeczywistości zastanej i do bezpłodnego marzycielstwa. Począwszy od rozważań ogólnych — o religii, sztuce, nauce, tradycji, autor przechodzi do takich spraw jak naród, państwo, wojsko, miejscowość. „Autor książki niniejszej — pisze o sobie — wystrzegał się starannie wszelkich dywagacji subiektywnych. Pragnął podawać jedynie rzeczy bezsporne, najobiektywniej prawdziwe". Zdanie to jest tylko częściowo słuszne, gdyż książka jest pisana z pewnym określonym celem, który siłą rzeczy decyduje w pewnym stopniu o jej nie obiektywnym charakterze. Celem tym jest przygotowanie i urobienie pozytywnych współpracowników w istniejących warunkach współczesnego polskiego życia. „Przyszłość młodzieży polskiej polega na tym, że siłą konieczności będzie ona musiała w stosunkowo krótkim czasie wziąć na swoje barki odpowiedzialność za losy Narodu i Państwa". W myśl tej zasady autor karci surowo protestowiczów i malkontentów (choć na dnie protestu tkwi nieraz świadoma i poparta argumentami idea) i zaleca w każdej sytuacji wyjście nie dozwalające na sianie zamętu (np. spełnianie sprawiedliwości społecznej we własnym kręgu, a nie poszukiwanie idei ogólnej, która mogłaby ją wcielać). Poza tą pewną tendencyjnością cały szereg rozważań podany jest istotnie w sposób nie jednostronny, zgodny jedynie z ogólnym poczuciem sprawiedliwości i humanitaryzmem. Mimo szerokiego zasięgu tematów rozważania te nie są wcale dyletanckie, choć niewątpliwie potraktowane celowo w sposób przystępny. Bardzo interesującą i pogłębioną jest np. rozprawka o sztuce, uwagi o wiedzy, o doktrynie itd.

W sumie jest to książka rozumna i pożyteczna, lecz z jednym zastrzeżeniem: nie nadaje się ona do osobistego przeżywania, lecz do dyskusji, dlatego właśnie, że nie podaje gotowych wyników. Osobisty, jednostkowy wpływ mają na młodzież raczej książki o silniejszej pasji przekonywania, pełne pociągającego uroku, niewolące potężną ideą. Natomiast zbiór tego rodzaju chłodnych, rozsądnych, intelektualnych rozważań jest doskonałym materiałem do dyskusji w większych zespołach. Ponieważ rozważaniom tym, mimo postawy utylitarnej, brak jednak poparcia w przykładach i bezpośredniego związku z życiem — żywa wymiana zdań nasyci te uwagi żywotnością i aktualną treścią.

Krystyna Kuliczkowska
Warszawa

STAJENKA BETLEJEMSKA [1]).

Jest to współczesne ujęcie starego tematu wnoszące do popularnej literatury scenicznej ton nowy, gdzie liryzm i idea społeczna stanowią harmonijną całość.

---

[1]) K. Jeżewska. Stajenka Betlejemska. (Teatr Polski żywy). Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa, str. 112. Zł. 3.60.

Przez ubogą stajenkę, rozświetloną obecnością Dzieciątka i Matki Boskiej, przesuwają się postacie z legendy: pastuszkowie, zwierzęta, Trzej Królowie i Herod z małą Marysią, która ulitowała się niedoli herodowej i wyprosiła u Dzieciątka dla niego przebaczenie. Ułani, marynarze, lotnicy i piechota przychodzą pokłonić się Dzieciątku i złożyć hołd Królowej Korony Polskiej.

Ostatni obraz, kolorowy od sukman, barwnych chust i korali, zawiera cały nasz regionalizm.
W tym obrazie najsilniej odzywają się akcenty ideowe i znajdują swój wyraz osiągnięte rezultaty prac i wartości różnych ziem polskich dawnych i obecnych czasów.

Piękne ilustracje Zofii Wawrzkowicz, ułatwiające teatrom i świetlicom rozwiązanie dekoracyjne jasełek, kolędy Franciszka Izbickiego w harmonizacji prostej, nadającej się dla zespołów amatorskich — winny przyczynić się do poczytności „Stajenki Betlejemskiej" i do rozpowszechnienia tej książki w bibliotekach szkolnych.

WZMIANKA O NUMERZE I „PANI DOMU" Z DNIA 1 STYCZNIA 1939 ROKU.

Wraz z pierwszym dniem 1939 roku i pierwszym dniem karnawału wychodzi w świat pierwszy na ten rok zeszyt czasopisma PANI DOMU poświęcony zagadnieniom życia towarzyskiego. Szereg ciekawych uwag i spostrzeżeń pod postacią ciętych felietonów, bądź poważniejszych artykułów ujmuje różne niedomagania, śmieszności lub spaczenia naszych spotkań towarzyskich, a jednocześnie stara się wykazać, na czym polega prawdziwa ich wartość jako pewnej formy współżycia ludzkiego, jako sposobu podtrzymania stosunków i znajomości, jako rozrywki rozpraszającej szarzyznę codzienną, a nawet jako swego rodzaju środka wychowawczego dla dzieci... i nie dla dzieci.

Inne znów artykuły dotyczą samej techniki przyjęć. Jak zapraszać, jak się ubrać, jak zachować w różnych okolicznościach i tysiąc innych spraw nastręczających czasem chwile wahań i niepewności znajduje objaśnienie i rozstrzygnięcie w omawianym zeszycie, uzupełnionym licznymi fotografiami zastaw stołowych, najmodniejszych toalet, futer wieczorowych itp.

Pismo PANI DOMU jest do nabycia we wszystkich większych księgarniach, kioskach gazetowych i w Administracji pisma: Warszawa, Nowy Świat 9.

Z PRASY POLSKIEJ.

Dyskusja o współpracy domu i szkoły.

„Przegląd Pedagogiczny" zamieszcza w Nr. 25 — 26 ostatni artykuł dyskusyjny nad współpracą domu i szkoły, pióra p. Z. Iwaszkiewiczowej. Z prawdziwym zrozumieniem dla bolączek współpracy autorka pragnęłaby ją unormować praktycznymi wskazaniami, które z jednej strony obejmują obowiązki szkoły względem rodziców, a więc 1) przewodnictwo w metodach wychowania i dokształcanie pedagogiczne rodziców, 2) koordynowanie poglądów obu stron, z drugiej zaś strony obowiązki wzajemne szkoły i rodziców, tj. poszanowanie ze strony szkoły autorytetu rodziców i ze strony rodziców autorytetu szkoły, wzajemne uwzględnianie kontroli wpływów wychowawczych: szkolnych przez dom, domowych przez szkołę i wreszcie punkt ostatni, najszerszy, obowiązki rodziców względem szkoły: rodzice winni a) szanować prawa i przepisy szkolne, b) dopilnowywać spełniania przez dziecko obowiązków szkolnych, c) nie krytykować szkoły i nauczycieli wobec dzieci, d) nie osłabiać dążenia szkoły do urabiania silnych i zdyscy-

plinowanych charakterów, f) współpracować z nauczycielstwem i innymi rodzicami nad podniesieniem wpływu wychowawczego domu i szkoły.

Słusznie sądzi autorka, że taka współpraca się „opłaci".

Replika dr Chirowskiego.

Następny numer „Przeglądu Pedagogicznego" zamieszcza replikę dra Chirowskiego na wszystkie artykuły dyskusyjne, podzielone na podpisane i niepodpisane. Co do pierwszych stwierdza, że nieporozumienia wynikały głównie w przedmiocie tonu i formy, bo przecież autorowi artykułu, który rozpętał dyskusję, szło właśnie o współpracę, nie zaś o jej zwalczanie!

W artykułach niepodpisanych widzi p. Chirowski chęć zniesławienia go, przy czym odnosi wrażenie, że ma tu do czynienia z systemem, z nagonką i przychodzi do przekonania, że działa tu (być może) i jakaś organizacja...

Ponieważ jednak przeciwko inicjatorowi dyskusji wystąpiła zgodnie zarówno prawica jak i lewica, więc charakter i istota tej organizacji musiałyby naprawdę być zgoła osobliwe. Czy nie prościej jest przyznać, że odezwała się opinia wszystkich odłamów naszego społeczeństwa, które bez względu na przekonania polityczno-społeczne pragnie kontaktu i porozumienia ze szkołą?

„Jesteś lepszy, niż udajesz".

Piękne myśli rzuca w krakowskim „Głosie Narodu" (19.XI.38) jedna z nauczycielek, używająca pseudonimu „I. Z. Strzygoń", z okazji 350-lecia Gimnazjum Nowodworskiego.

Na przykładzie pewnego niepoprawnego urwisa daje obraz prześlicznego stosunku dyrektora gimnazjum do tych właśnie najgorszych uczniów, którym zwykł on wmawiać, że „będą z nich ludzie".

Autorka znała różnych pedogogów. „Jeden opowiadał: Gdy uczeń jest niesforny, pytam tak, aby „oblał", a potem mówię: „Zemsta jest słodka". Inny tłumaczy swym wychowankom dzień po dniu, iż są głupi, zepsuci, źli, ordynarni i żalił się, że nie mają doń zaufania... Ale dla mnie pozostanie już na zawsze wzorem ten, który w nieznośnego malca wmawiał gwałtem, że się poprawił".

Ci, którzy brudnymi rękami kolecjonują po kieszeniach magnesy i gwoździe, i ci, którzy czytają „Nieboską" i przeżywają swą pierwszą miłość, są pod jednym względem podobni do siebie: w zmaganiu się z własnym lenistwem, temperamentem, samowolą, brutalnością, a z ich młodych dusz wyzwoli to, co naprawdę wartościowe, ten, kto im w tej walce dopomoże prostym słowem: — Ufam ci, jesteś lepszy, niż udajesz.

Lecz co poczną, gdy miast tego co dzień, co godzinę przytłoczymy ich pogardą, lekceważniem, naganą? Pójdą po drodze najmniejszego oporu i postarają się być silni przynajmniej w złym. Ileż pozy w duszach tych hardych, „cynicznych" młokosów, którzy nie słyszą dobrego słowa w domu ani w szkole, i ile bezradnego, dziecinnego rozżalenia i osamotnienia... i jak łatwo rozpłynie się to wszystko pod wpływem ludzkich, uczciwych słów: — Jesteś lepszy, niż udajesz.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Zwierzenia naszych dzieci.

W listopadowym numerze „Education” francuski psycholog i wychowawca omawia doniosłe zagadnienie zwierzeń dzieci i młodzieży.

Rodzice chcą wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w duszach ich dzieci i dlatego niejedni sądzą, że mają prawo wymagać zwierzeń, inni żebrzą o nie, inni znów, aby je wydobyć, używają różnych forteli i chwytów.

Czy jednak zaspokojenie własnej ciekawości jest celem ważnym i godziwym? Rodzice muszą się zastanowić, że powinni pragnąć zwierzeń dzieci tylko na to, aby móc im służyć pomocą. Musimy pogodzić się z myślą, może i bolesną dla naszych uczuć, że powodzenie, do którego się nie przyczyniliśmy, jest rzeczą cenniejszą dla dziecka, aniżeli niepowodzenie, którego staniemy się współczującymi świadkami i pocieszycielami.

Gdy rodzice dobrze sobie uprzytomnią tę prawdę, może nie będą zmierzali do zdobywania szturmem tajemnic, których istnienie przeczuwają. Będą umieli wyczekać chwilę sposobną. Wtedy zaś, kiedy dziecko się wypowie, niech się zastanowią nie tyle może nad treścią zwierzenia, ile raczej nad motywami, które powodują dzieckiem, wypowiadającym się.

Bo pamiętajmy, że prócz dzieci skrytych, które, jak ten mały Spartanin, wolą by im lis, ukryty pod chlamidą wygryzł wnętrzności, aniżeli pozwolić sobie na skargę, są i takie, które mają upodobanie w zwierzaniu się, które ze zwierzeń swych korzystają, aby dręczyć siebie i innych. Są i takie dzieci, którym się zdaje, że nie mają prawa nawet do myśli własnych, dzieci które poza matką świata nie widzą. Wzruszające jest może dla widzów takie przywiązanie, ale jest ono wybitnie krzywdzące dla dalszego rozwoju tych młodych istot,które się nie nauczą w porę żyć własnym życiem.

Nie mówiąc już nawet o wypadkach takich niezdrowych, bo zbyt silnych uwiązań uczuciowych, sama sytuacja, jaką wytwarzają zwierzenia młodych, kryje w sobie wiele niebezpieczeństwa. Wszystko zależy od postawy, jaką przyjmą rodzice. Jeśli zaczną zrzędzić i moralizować, zmrożą odrazu pierwszy poryw zaufania. Jeśli rodzice zanadto okażą przejęcie się i zatroskanie kłopotami młodych, również doprowadzą do zamknięcia się ich w sobie. „Bo ojciec czy mama zanadto się przejmują, to już lepiej nic nie mówić”, tak nieraz motywują młodzi swoje milczenie wobec psychologa.

Rodzice muszą udzielać młodym poczucia spokoju i równowagi, które im dopomoże do wejrzenia w siebie. Nie musimy zatajać naszego zdania, ale też nie powinniśmy go przedwcześnie narzucać. Młodzi powinni móc się spodziewać od nas tego, by dane im było w naszej obecności zmierzyć się z własnymi kłopotami i trudnościami, dać ujście dręczącym i niepokojącym uczuciom, a naszą jest rolą tylko tak pokierować ich rozważaniami, aby mieli uczucie, że sami odnaleźli właściwe wyjście, najlepsze rozwiązanie. A jeśli już naszej pomocy żądają, nieśmy ją, ale jej nie narzucajmy, zanim nie wyczujemy, że jest potrzebna.

O powołaniu nauczyciela.

W bardzo ciekawych uwagach o wyborze zawodu nauczycielskiego („New Era” Nr. 7 1938) stwierdza kierowniczka seminarium nauczycielskiego w Anglii, że młode kandydatki, odpowiadające na ankietę „dlaczego obrałaś zawód nauczycielski”, odpowiadają: „Bo lubię dzieci”, „Bo zawsze chciałam uczyć”.

Dopiero w praktyce nauczania, gdy spotkają się z niepowodzeniem, z trudnościami, z niemożnością nawiązania szczerego kontaktu z klasą, młode nauczycielki zaczynają sobie stawiać pytanie: „Czy naprawdę lubię dzieci, czy też wybrałam ten zawód dla jakichś innych względów?”.

I jeśli uczciwie zbadają siebie, zobaczą, że zaważyło tu wiele innych motywów, jak chęć władzy, wywyższenia, bierność w stosunku do życzeń rodziców, chęć zapewnienia sobie stanowiska (pamiętajmy, że to się dzieje w Anglii). Dopiero, kiedy po zbadaniu siebie wszechstronnie w świetle swojej pracy, młoda kandydatka na nauczycielkę może sobie śmiało powiedzieć: „Jestem nadal nauczycielką, bo kocham dzieci”, wtedy znalazła właściwy stosunek do swego zawodu.

Jako przyczynek do powyższego twierdzenia psycholog - analityk Dr Barbara Low („New Era” Nr. 8, 1938) dorzuca interesujący przykład: Pewien nauczyciel zgłosił się do zbadania psychologicznego, ponieważ miał nieustanne trudności z uzyskaniem karności w klasie. Pomimo że nie stosował wcale kar i miał za złe kolegom, że je stosują, uczniowie jego (chłopcy w wieku od 10 — 12 lat) odnosili się do niego wrogo, impertynencko, albo lekceważąco.

Analiza wykazała istnienie silnych pragnień górowania nad tymi, którzy mu okazują lekceważenie. Był to człowiek małego wzrostu, skłonny do onieśmielenia. Odczuwał zawsze lęk przed własnymi kolegami, którzy go przewyższali wzrostem.

Jego poglądy wychowawcze, bardzo liberalne, były świadomie przybraną osłoną w stosunku do nurtujących w głębiach jego psychiki uczuć zemsty. Dawał jednak ujście uczuciom tym, stosując do chłopców ironię i drwiny. To właśnie było przyczyną, i to całkiem dostateczną, wrogiego stosunku chłopców do nauczyciela.

Człowiek ten tak mało zdawał sobie sprawę ze swych nieuświadomionych popędów, że nie widział nawet jak potężną bronią napastniczą jest stosowana przez niego ironia. Przeciwnie, był dumny zarówno ze swej „wyższej” postawy w stosunku do kar, jak ze swej metody „dowcipnej” i „intelektualnej” radzenia sobie z niesfornymi uczniami.

Niepowodzenie jego metod nie wystarczyło mu. Nie zrozumiałby na czym polega jego błąd, gdyby nie analiza psychologiczna, i ten skądinąd zdolny i dobry nauczyciel byłby zmuszony porzucić swoją pracę; zrozumienie własnego błędu pozwoliło mu na skorygowanie swego stosunku do uczniów, a wynik dodatni nie dał na siebie czekać.

PAWEŁ.

Zjawił się u nas w obozie jakoś po południu. Lat miał może dziesięć, albo jedenaście. Mówił, że służył w Wasylkowcach, we dworze i że wraca do domu. Sołtys twierdził zresztą odrazu, że to nieprawda i, jak się później okazało, miał rację. Paweł dostał barszcz z obiadu i zimne kotlety — usiadł na trawie pod płotem, trzymał talerz na kolanach, zajadał te kotlety i patrzył na nas pogodnymi, dziecinnymi oczami. Dostał potem od którejś z dziewczynek kolorowe landrynki w papierowej torebce i zaraz przyszedł nas poczęstować. Wyciągał rękę z torebką i mówił: „Na, pani, weź, ale weź sobie dwa, to dobre!”. Trochę zakłopotane brałyśmy landrynki i dziękowałyśmy za ten niespodziany poczęstunek, a Paweł uśmiechał się i mówił: „Nic ma za co!”. Więc zaraz nauczyłyśmy go, że to nieładnie i że mówi się „proszę”. Trochę się zawstydził, ale niebardzo.

Wieczorem przyszedł do mojego plutonu na ognisko. Za duży, złotawy księżyc podnosił się nad rzeką, po tamtej

stronie głębokiego jaru. Czarna woda pluskała po wystających z mułu kamieniach. Rude płomienie ogniska odrywały się, leciały w górę, rozpływały się w drgającej wkoło, ciepłej aureoli. Paweł usiadł między nami — patrzył w ogień, słuchał. Później rozpalanie ogniska stało się jednym z jego przywilejów; śpiewał też zawsze z nami — ale tego pierwszego wieczoru ograniczył się do roli biernego widza — wchodził widać z namysłem i w skupieniu w to „nowe", co go otaczało.

Tegoż wieczoru posłałam Pawła po coś do sklepu. Sklep był niestety zamknięty i Paweł wrócił smutny i speszony. Pocieszyli go miejscowi, wsiowi chłopcy, otrzaskani już z naszymi obozowymi formami: „To nic — to tylko zamelduj, że rozkazu nie wykonałeś!" Uważali widać tę formułkę za rodzaj magii wszystko tłumaczącej.

Owa nieznana, obozowa magia urzekła Pawła w równym przynajmniej stopniu, co wspomniany wyżej barszcz i kotlety. Został na obozie. Pomagał gosposi — „babuni", jak ją nazywał — w kuchni; przed galowymi wystąpieniami czyścił buty całej kadrze instruktorskiej, zwiedzał kolejno 4 prowadzone przez obóz półkolonie — grał z zapałem w piłkę, rysował, lepił z gliny. Kręcił się po obozie w roli adjutanta podczas większości moich służbowych wystąpień.

Wżywał się w tę nieznaną magię form wojskowych z pogodną łatwością małego włóczęgi. Nie wiem, gdzie i kiedy nauczył się „meldować posłusznie" i stosował tę formę w chwilach, które uznawał za szczególnie ważne. Wybrał sobie pluton — chodził z nim zawsze na musztrę — maszerował z dziewczynkami w ostatniej czwórce, wykonując ultra-przepisowe zwroty. Alarmy wprawiały go w swoisty „trans". Zrywał się, pędził jak strzała na plac zbiórki, półprzytomny z przejęcia pomagał „swojemu" plutonowi rulować koce. Stawał z dziewczynkami w szeregu. Szalał po prostu ze szczęścia, jeżeli „jego" pluton stanął pierwszy.

Bliższe więzy sympatii między Pawłem i mną zadzierzgnięte zostały na festynie. Festyn był oczywiście wielkim wydarzeniem w naszym obozowym życiu. Gotowiśmy byli wszyscy bodaj stanąć na głowie, byle zaćmić świetnością wszystkie podobne zabawy w okolicy.

Do późnej nocy piekły się w obozowej kuchni torty z wymyślną, orzechowo-czekoladową masą, rosły stosy kanapek. Z bibułki stylizowało się na gwałt stroje łowickie, krakowskie, śląskie. Pełno było tych kolorowych, szeleszczących cudów wszędzie w pokojach. Przymierzało się, szyło, kleiło.

O 3-ej przyszła orkiestra. Jak się rozsiedli na ławie — jak zagrali! Solidna, wsiowa orkiestra, nie jakieś tam miejskie nabieranie. Pół godziny tańca — minuta odpoczynku. I jeszcze bis — jeszcze mało. Na sali głośno, ciasno, kolorowo. Migają w oberku bibułkowe, szeleszczące wstążki obozowych panienek, migają wsiowe chustki, migają mundury K.O.P.-istów. Aż się w głowie kręci od tego wszystkiego. Kiwają się do taktu bibułkowe festony na suficie — kiwają się bibułkowe lampiony...

Paweł jest wszędzie— i tam gdzie tańczą, i w bufecie, wpatrzony w czekoladowy tort, i lody „lizane" zajada. Dostał bibułkową, krakowską czapkę i patrzy, patrzy... Ale wszystko blednie wobec „losów" — loterii fantowej. Można wygrać i prawdziwego szczeniaka i żywego królika i malowany, fajansowy talerz, i krawat, i kogutka, i mydło, i tyle, tyle innych rzeczy.

Paweł zwierzył mi się przed festynem, że ma 20 groszy i że będzie ciągnął losy. Nie chce cukierków — cukierki są dla dzieci, ale gdyby tak wygrał królika... Miał kiedyś w domu królika, ale ojciec go sprzedał. Wie, że królik ma miękkie futerko i długie— o takie — uszy.

Traf zrządził, że znalazłam się niedaleko, gdy Paweł ciągnął losy. Prosił, żeby mu rozwinąć karteczkę — jemu samemu ręce zanadto się trzęsły z emocji. Kartka była pusta. Ach — te oczy, takie przeraźliwie smutne oczy. Stracił swoje 20 groszy — całą swoją nadzieję

i inni chłopcy wygrają może królika i talerz i...

To drobne zdarzenie zdecydowało o dalszym biegu wypadków. Postanowiliśmy z Pawłem utworzyć spółkę i razem ciągnąć losy. To znaczy Paweł ciągnął, a ja otwierałam. Wygraliśmy w ten sposób malowany talerz, kilka kubków, i nawet kolorowe okulary. Królika wygrał niestety ktoś szczęśliwszy.

Po skończeniu loterii przyszedł do mnie Paweł podzielić wygrane fanty. Zrezygnowałam oczywiście z należnej mi części, co Paweł przyjął z dość dużym uznaniem. Zaraz potem przehandlował z kimś kolorowe okulary, wymieniając je na ołówek, czy coś równie atrakcyjnego...

Zwykle wieczorami, o ile nie było ogniska, schodziły się do nas bliżej mieszkające dzieci. Obsiadało bractwo schodki przed Domem Ludowym i śpiewaliśmy razem. Było na obozie kilka specjalistek od tych dziecinnych chórów — dyrygowały nimi z wielkim temperamentem, co budziło wśród chłopców duże uznanie.

W przeddzień 6-go sierpnia przyszły dzieci jak zwykle i zaczęliśmy powtarzać sobie legionowe piosenki, które miały być nazajutrz śpiewane na uroczystym ognisku. Więc „Przybyli ułani" i „Jak to na wojence", „Pierwsza kadrowa" i „Jedzie, jedzie na kasztance". Zaczęłam coś opowiadać chłopcom o Komendancie i jego kasztance — porwali się zaraz, że umieją wiersz o Panu Marszałku. Deklamowali jeden przez drugiego. Paweł znał też bardzo ładny wiersz — ze szkoły

— Kto ty jesteś — Polak mały
Jaki znak twój — Orzeł Biały.

Wyrecytował wszystko — zaciął się gdzieś bodaj dopiero na ostatniej zwrotce. Podobało się nam bardzo, Paweł był dumny z uznania.

Tydzień przedtem był z nami Paweł w strażnicy K.O.P.-u. Był zachwycony, kręcił się, oglądał wszystko. Podobał się żołnierzom. Żartowali z nim, zachęcali, żeby z nimi został w strażnicy — tu by dopiero zobaczył prawdziwe wojsko. Pamiętam, jak wśród żartów zapytał ktoś:

— A ty kto jesteś, Paweł, właściwie — Polak? Rusin?

— Ja Rusin — odpowiedział.

Jak ty jesteś Rusin to nam nic do ciebie, powiedzieli. Myśmy myśleli, żeś ty Polak.

Spuścił smutnie głowę, zmieszany. Nic zaprzeczał.

Nie mówiłam o tym nigdy z Pawłem. Zapytałam tylko raz naszej gosposi, czemu mówi z chłopcem zawsze po rusku.

— Jak on jest Rusin, proszę pani komendantki, to ja z nim muszę mówić po naszemu. Ot panny są Polki, to ja z pannami po polsku mówię.

Zrobiło się już późno, więc wstaliśmy wszyscy i śpiewaliśmy Brygadę. Dzieci rozeszły się do domów.

Wracaliśmy — Paweł i ja — drogą rozmokłą po niedawnym deszczu. Glina plaskała pod bosymi stopami Pawła. Nad nami było gwiaździste niebo sierpniowe, ujęte w świetlistą obręcz mlecznej drogi. Spadały gwiazdy. Paweł szedł obok mnie.

— Pani komendantko, — powiedział zamyślony, — co tych gwiazd jest! Tyle może, co sierści na krowie...

Chciałam mu coś powiedzieć o cudach tego gwiaździstego nieba — wytłumaczyć, że nasza ziemia jest także gwiazdą. Pokazałam mu świecącą nad horyzontem planetę i mówiłam o istniejącym, być może, na niej życiu. Nie wiem, ile z tego zrozumiał i czy zdołałam go przekonać. Tymczasem doszliśmy do domu i Paweł poszedł spać, jak zwykle do stodoły.

Kiedy odjeżdżałyśmy po zlikwidowaniu obozu, słońce gasło na zachodzie. Deszcz padał przez cały dzień, wypogodziło się dopiero pod wieczór i wszystko się jakoś uciszyło. Jesień rozsnuwała się już po ścierniskach, z których zwożono ostatnie snopy. Paweł jechał z nami — odwoziłyśmy go po drodze do domu — do ojca. Trzymał oburącz wielkie, tekturowe, dziurawe z jednego boku pudełko, w które zapakował swoje skarby: trzy zniszczone książki z obrazkami, bluzkę w kratkę odziedziczoną po kimś z obozu,

sznurki jakieś, bibułkowe korale z festynu, krakowską czapkę.

Wieś została za nami na górze. Błyskała jeszcze w zachodzącym słońcu dachem Domu Ludowego, bieliła się ścianami chat. Wdrapaliśmy się po grząskiej drodze na sąsiedni pagórek — jeszcze stamtąd widać było wszystko — zjechaliśmy potem na dół i wszystko zniknęło. Została na tle ciemniejącego nieba smukła wieżyczka strażnicy K.O.P.-u. Dalekie pola zaczynały zwolna roztapiać się w ciemności...

*

Będzie może również zachodziło słońce, kiedy tam wrócę. Lato będzie. Pola rozkołyszą się srebrem dojrzewającego zboża. Może to będzie za rok — może za pięć lat, za siedem.

Nie wiem, kim będzie wtedy Paweł — czy nas sobie przypomni, pozna, czy przywita się z nami. Może będzie „po tamtej stronie" — może w szeregach miejscowego „Łuhu" pomaszeruje przed naszymi oknami z piosenką własną — w braku karabinu z kijem ćwicząc „prezentuj" i „do nogi broń".

Leży między nami coś, co jest mocniejsze od nas wszystkich, zwykłych, małych ludzi.

Nie chcę, byśmy byli wrogami. Razem patrzyliśmy w gwiazdy sierpniowego nieba, kiedy mnie o nie pytał Paweł, nie było między nami nienawiści. To wiele warte. Chcę to zatrzymać. Nie wiem — jak?...

W.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Dla dzieci młodszych (do 10-ciu lat).

„Nowe Moje Książeczki" wyd. M. Arcta:

M. Buyno-Arctowa: Ptaszek Tereski. Cena zł 2.00.

H. Januszewska: O Polskim Chrobotku. Cena zł 2.40.

Or-Ot: Leśna Królewna. Cena zł 1.60.

M. Konopnicka: O Julisi-śpiewaczce. Cena zł 1.40.

J. Porazińska: Kozucha-Kłamczucha. Cena zł 1.80.

Z. Różycki: O czarnoksiężniku i jego niegrzecznym synku. Cena zł 1.20.

Dla dzieci starszych i młodzieży.

G. Morcinek: Maszerować! (Gebethner i Wolff. Cena zł 3). Jest to opowiadanie z niedawnych dziejów powrotu Śląska Zaolziańskiego do Polski, szlachetne, głęboko odczute i przeżyte.

M. Dąbrowska. Tu i tam (J. Mortkowicz. Cena gr 60). Opowiadanie z życia ludu, jedno z Kujaw, drugie z dziejów Polaków w Westfalii.

Roman Kozłowski: Taczanka naprzód. Wspomnienia wojenne, opowiadanie młodzieży. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie.

Maria Wardasówna. W śniegu i w słońcu. Powieść narciarska. Wyd. Stowarzysz. Chrześc.-Narodowego Naucz. Szkół Powszechnych. Księgarnia Św. Wojciecha w Warszawie.

A. Żabińska: Dżolly i S-ka („Rój". Cena zł 8). Dzieje oswojonej hienki i innych wychowanków warszawskiego Zoo.

Szara Sowa, **Sejdzio i jej Bobry** (J. Przeworski. Cena zł 7). Dzieje dwóch małych bobrów, wychowanych przez młodą Indiankę.

Henryk Orłoś: Grzybobranie. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

E. Frączek i Z. Jarosz: Pilotaż dla wszystkich (M. Arct. Cena zł 3.50). Książka dla szerokich rzesz, a przede wszystkim dla młodzieży, która chce się zapoznać teoretycznie i praktycznie z zasadami latania.

Jerzy Tepa. Na polskiej antenie. Państwowe Wyd. Książek Szkolnych we Lwowie.

Henryk Orłoś. Znaczenie grzybów w przyrodzie. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH

opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

DOM i SZKOŁA POWSZECHNA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W OKRESIE SZKOŁY POWSZECHNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY.

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA.
Prenumerata wynosi: półrocznie (5 zeszytów) — zł. 1.50
rocznie (10 zeszytów) — zł. 3.00

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11
(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020
Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40